

KUŹNICA

Rok IV

Łódź, 19 września 1948 r.

Nr 38 (159)

TYGODNIK SPOŁECZNO-LITERACKI

Rezolucja Światowego Kongresu Intelktualistów we Wrocławiu

MY, DZIAŁACZE kultury, nauki i sztuki z 45 krajów, zgromadzeni w polskim mieście Wrocławiu, zwracamy się do intelektualistów świata.

Przypominamy o śmiertelnym niebezpieczeństwie, które niedawno jeszcze groziło kulturze ludzkości. Byliśmy świadkami barbarzyństwa faszystowskiego — niszczenia zabytków historycznych i kulturalnych, prześladowania i zagłady ludzi pracy naukowej, sponiewierania wszystkich wartości duchowych, świadkami faktów, zagrożających elementarnym pojęciom sumienia, rozsądku i postępu.

Kultura ludzkości ocalona została za cenę niespotykanych dotąd ofiar dzięki ogromnemu nateżeniu wszystkich sił demokratycznych — Związku Radzieckiego, narodów Wielkiej Brytanii i Stanów Zjednoczonych Ameryki Północnej, dzięki bohaterkiej walce oporu narodowego w krajach zagarniętych przez faszystów.

Jednakże wbrew woli i pragnieniom narodów świata garstka żądnych zysku ludzi w Ameryce i Europie, którzy przejęli w dziedzictwie po faszystach ideę wyższości rasowej i negację postępu, którzy zapożyczyli od faszystów tendencję do rozstrzygania wszystkich spraw siłą oręża, znowu gotuje zamach na dorobek duchowy narodów świata.

Kulturze krajów europejskich, które wniosły ogromny wkład do światowego dorobku ludzkości, grozi niebezpieczeństwo utraty oblicza narodowego.

Rezolucję przyjęli jednomyślnie przedstawiciele następujących krajów: Albanii, Argentyny, Argentyny, Afryki Francuskiej, Austrii, Belgii, Brazylii, Bułgarii, Chin, Czechosłowacji, Danii, Finlandii, Francji, Grecji, Hiszpanii, Holandii, Indii, Iraku, Izraela, Jugosławii, Madagaskaru, Martyniki, Meksyku, Niemiec, Norwegii, Polski, Portugalii, Rumunii, Szwecji, Urugwaju, Wietnamu, Węgier, Włoch i Związku Radzieckiego.

W wielu krajach — w Grecji, Hiszpanii, krajach Ameryki Łacińskiej — wroście postępowi siły ochraniają dawne i rozniecają nowe ogniska faszystów.

Wbrew rozsądkowi i sumieniu trwa nadal i nawet wzmagają się ucisk jednostek i całych narodów, które ciemnieją nazywają kolorowymi.

Ludzie, którzy przyjęli metody faszystów, uprawiają w swoich krajach dyskryminację rasową, prześladowają wybitnych przedstawicieli nauki i sztuki.

Odkrycia naukowe, które by mogły służyć dobru ludzkości, obraca się na tajną produkcję środków niszczenia płamiąc i podważając wysokie powołanie nauki.

Słowo i sztuka pod władzą tych ludzi zamiast oświecać i zbliżać narody, roznieca niskie namiętności i nienawiść do człowieka, toruje drogę wojnie.

Głęboko wierząc w konieczność swobodnego rozwoju i rozpowszechnienia zdobytych postępowej kultury we wszystkich krajach, w imię pokoju, postępu i przyszłości świata — protestujemy przeciwko wszelkim ograniczeniom tych swobód i podkreślamy konieczność wzajemnego porozumienia się kultur i narodów w interesie cywilizacji i pokoju.

Zdając sobie sprawę z tego, że współczesna wiedza wyzwoliła nowe potężne siły, które z całą pewnością będą użyte przez ludzkość bądź na jej dobro, bądź na szkodę — Kongres protestuje przeciwko rzysztaniu z nauki dla celów zniszczenia i wzywa do zmobilizowania wszystkich sił,

aby szeroko rozpowszechnić wiedzę po całym świecie i zużytkować środki naukowe do szybkiego zwalczania nędzy, ciemnoty, chorób i niedostatków, od których cierpi większość ludzkości.

Kongres domaga się również zniesienia ograniczeń, które stoją na przeszkodzie swobodnemu poruszaniu się osób, służących sprawie pokoju i postępu oraz ograniczeń w ogłaszaniu i rozpowszechnianiu książek, wyników naukowych i wszystkich naukowych i kulturalnych zdobyczy służących tej samej sprawie.

Narody całego świata nie chcą wojny i mają dosyć sił, aby uchronić pokój i kulturę od zakusów nowego faszystów.

Intelektualiści świata!
Na nas spoczywa wysoka odpowiedzialność wobec naszych narodów, wobec ludzkości, wobec historii.

Podnosimy głos w obronie pokoju, w obronie swobodnego rozwoju kulturalnego narodów, w obronie ich niepodległości narodowej, ich ściślejszej współpracy i przyjaźni.

Wzywamy wszystkich ludzi pracy umysłowej we wszystkich krajach świata do rozważenia naszych wniosków.

— do zorganizowania krajowych kongresów działaczy kultury w obronie pokoju.

— do tworzenia wszędzie krajowych komitetów obrony pokoju,

— do umacniania w interesie pokoju międzynarodowych więzów łączących działaczy kultury wszystkich krajów.

2 osoby wypowiedziały się za rezolucją, 2 zaś wstrzymały się od głosu.

Jednomyślnie delegacja brazylijskiej należy uzupełnić wyjaśnieniem, że jedna osoba wstrzymała się od głosu, podczas gdy pozostałych 5 delegatów głosowało za rezolucją.

W rezultacie za przyjęciem rezolucji wypowiedziało się 371 delegatów, 12 wyraziło sprzeciw i 7 wstrzymało się od głosu.

MARCEL PRENANT

Międzynarodowa współpraca kulturalna *)

ZAGADNIENIE, o którym jest mowa w niniejszym referacie, zostało postawione przez Komitet Organizacyjny obecnego Kongresu Pokojowego w słowach następujących:

„Czy dla wspólnej wszystkim sprawy postępu nie jest koniecznym zapewnienie swobodnego rozwoju kultury, swobody badań naukowych oraz udostępnienie dzieł, odkryć i wynalazków bez jakichkolwiek ograniczeń?”

Jeszcze pół wieku temu postawienie tego rodzaju pytania przed takim, jak nasze, zgromadzeniem intelektualistów, nie miaoby żadnego sensu, sprawa bowiem była tak oczywista, że odpowiedź twierdząca nie ulegała żadnej wątpliwości. Odczuwamy jednakże wszyscy, że w chwili obecnej zagadnienie to nabrało doniosłej aktualności z trzech zasadniczych powodów.

Przed wszystkim niektóre środowiska współczesne rozpowszechniają pesymistyczne wątpliwości co do wzajemnych związków pomiędzy kulturą i nauką z jednej strony, a ogólnym interesem postępu i szczęściem ludzkim z drugiej.

Po wtóre kultura i badania naukowe stały się w krajach, opanowanych przez totalitaryzm faszystowski, ofiarami nienawist-

nych drwin i budzących wstręt prześladowań, a chociaż totalitaryzm został militarnie pokonany, to jednak nie wykorzeniono go doszczętnie.

I wreszcie nasza epoka, w której środki wojenne i środki ekonomiczne coraz bardziej się utożsamiają, przyniosła w niektórych krajach wzmagające się ograniczenia w zakresie rozpowszechniania wynalazków i odkryć, o ile w dalszej lub bliższej perspektywie te wynalazki i odkrycia mogłyby mieć znaczenie militarne. W tym miejscu każdy z nas pomyśli o studiach nad energią atomową i o zatrważającym problemie utrzymywania tych badań w tajemnicy.

Ta ostatnia postać zagadnienia jest rzecz tak doniosła, że chyba wszyscy mi wybaczą, jeśli zajmę się przede wszystkim kwestią techniczną i naukową, a o innych stronach kultury pomówię raczej sumarycznie, chociaż nie są one wcale mniej istotne dla ogólnego postępu cywilizacji.

Bardzo wbrew pesymistom naszej epoki powinniśmy bez zastrzeżeń podtrzymywać tezę, iż postęp moralny i społeczny oraz szczęście mas może się opierać jedynie na podstawach materialnych postępu technicznego i naukowego.

Ludzie wieku dziewiętnastego byli w swym nieco naiwnym entuzjazmie skłonni wierzyć, że ten postęp wystarczy, aby zapewnić wszystkim szczęście. Literaci, uczeni i filozofowie rywalizowali z sobą w opty-

„... patriotyzm, jak wszelkie inne uczucie i pojęcie ludzkie, wraz z modyfikacjami, którym ulega umysłowość i obyczajowość powszechna, modyfikuje się, zmienia ustosunkowanie składowych części i przybiera w siebie składniki nowe, przez co, nie znikając bynajmniej dokształcać się może do zgody doskonałej ze wszelką przebywaną przez ludzkość fazą rozwoju”.

Eliza Orzeszkowa

TREŚĆ NUMERU:

REZOLUCJA ŚWIATOWEGO
KONGRESU INTELEKTUALISTÓW
WE WROCŁAWIU

MARCEL PRENANT —

MIĘDZYNARODOWA
WSPÓLPRACA KULTURALNA

LEON GOMOLICKI —

ANDRZEJ ŻDANOW — TEORETYK
REALIZMU SOCJALISTYCZNEGO

ZYGMUNT RADEK —

STRZELNICA

JÓZEF CHAŁASIŃSKI —

WOJNA I WOLNOŚĆ KULTUR
NARODOWYCH

MIECZYŚLAWA BUCZKÓWNA —

WIERSZE

WŁADYSŁAW DASZEWSKI —

RYSUNKI

ANATOL STERN —

POSĄG BOHATERA

ALEKSANDER HERTZ —

AMERYKAŃSKIE RUINY

MARIA JANION —

KSIAŻKA O LITERATURZE
POWOJENNEJ

SEWERYN POLLAK —

WIERSZE JULIUSZA
ŻULAWSKIEGO

ADOLF SOWIŃSKI —

WIEJSKIE OPOWIADANIA
MORTONA

KRONIKA RADZIECKA

PRZEGLĄD PRASY

NOTY

Przełożył Adolf Sowiński

na odpowiadał warunkom technicznym epoki, a burżuazja, która na przykład we Francji właśnie obejmowała władzę polityczną, była klasą pnącą się w górę, żądną zysków, ale i żądną zarazem postępu przemysłowego, technicznego i naukowego. Rządzący pa-



Marcel Prenant na mównicy.

*) Przemówienie, wygłoszone na Światowym Kongresie Intelktualistów we Wrocławiu.

tronat nadawał kierunek zapałowi, ażeby sobie bowiem wykształcić techników nie wahał się przed stopniowym rozszerzeniem publicznej oświaty, przedłożeniem dość szczerą ręką na uniwersytety i zakłady badawcze, przed udzieleniem szerokiego kredytu nauce i rozumowi.

Na krótko przed końcem wieku zaczyna się pojawiać zaniepokojenie wśród kierowniczych czynników kapitalizmu europejskiego. Uzasadnione jest to zaostrzeniem się kryzysów ekonomicznych i coraz poważniejszym oporem klasy pracującej. Zmienia się nastrój ogólny. Modni filozofowie stają się antyracjonalistami albo przynajmniej są na szerokim froncie w odwrocie, jeżeli chodzi o sprawy dotyczące zaufania do nauki. Są nawet tacy, którzy mówią o „upadku nauki”, pojawiają się bowiem uczeni, którzy zaczynają powątpiewać.

To wszystko miało przeciągnąć się jeszcze na czasy po wojnie z lat 1914 — 18, gdy zamęt intelektualny, panujący w środowiskach myśli burżuazyjnej, przyczynia się do spotęgowania i zaostrzenia ogólnego kryzysu świata kapitalistycznego, a istnienie Związku Radzieckiego ten zamęt z wszelką ścisłością ujawnia. Widzimy, że właśnie wtedy w przeciwieństwie do postępu technicznego, a tym samym naukowego rozwija się światopogląd defetystyczny, który znalazł swój najpełniejszy wyraz w demagogicznej i korporacyjnej ideologii faszyzmu, ale odzwierciedlił się również w wielu dziełach filozofii i literatury. W swych ostatnich dziełach Bergson jeszcze bardziej podkreśla swe stanowisko, już od dawna irracjonalne. W osiadłych na mieliznie Niemczech powstają filozofie ucieczki i rozpacz, tak bardzo spowinowaczone z faszyzmem, że Heidegger został rektorem jednego z uniwersytetów Trzeciej Rzeszy. Pod tym na ogół wpływem zrodziły się ostatnio u nas zachwyty dla filozofii egzystencjalistycznej z jej udrękami dobrego tonu, filozofii, będącej częstokroć formalnym zaprzeczeniem postępu. Nawet uczone, laureat Nobla, Charles Nicolle, zatyłował jedną ze swych książek „Fikcja postępu” i oddał się w niej nostalgicznemu marzeniom o złotym wieku i raj u utracnym. Część młodzieży poszukuje duchowych lub spirytualistycznych tematów ucieczki, jakgdyby dostępny nam świat nie był dostatecznie bogaty, aby żyć na nim bez ucieczki. Niektórzy pisarze, jak choćby mój rodak, pan Gabriel Marcel, nie obawiają się wciągnąć religii w tę reakcyjną awanturę, pisząc na przykład tak:

„Myślę, że to rzeczywiście w samym duchu cywilizacji technicznej tkwią największe trudności, na które w sumieniach doskonale czystych natrafia sama idea życia albo — ściślej biorąc — prawdy religijnej”.

Sądzę, że powinniśmy gwałtownie zaprotestować przeciwko takiemu nastrojowi umysłów. Są na tym kongresie zdecydowani materialści, są i spirytualiści o rozmaitych dążnościach, są i ludzie głęboko przywiązani do wiary chrześcijańskiej. Te rozbieżności teoretyczne nie powinny przeszkodzić nam w porozumieniu się co do kilku podstawowych tez w zakresie postępu ludzkości.

A więc jeżeli nawet postęp techniczny i naukowy z jednej strony, a postęp ogólnokulturalny, postęp moralny i szczęście mas z drugiej strony, nie są ściśle ze sobą związane, to jednak absolutnie nie są od siebie niezależne. Wysoki poziom kultury łączy się bezwzględnie z dostatecznie wysokim poziomem życia materialnego. Natomiast same etyki, nawet te, które mogłyby nas obchodzić bezpośrednio i w ten sposób stać się wobec nas nadrzędnymi, są zależne od przemijającego stanu techniki przynajmniej w pewnym minimum, które nazywa się cywilizacją. I im bardziej podnosi się poziom techniczny, tym lepiej zaspakajane są potrzeby materialne człowieka, im bardziej kurczy się dziedzina zniewalającego przymusu, tym szerzej może rozwinąć się dziedzina wolności i odpowiedzialności, będących wyrazicielkami najwyższej godności ludzkiej.

Żaden okres historii temu nie zaprzeczył. Można tu przytoczyć wielkie okresy kulturalne przeszłości aż do epok, których poziom techniczny był bardzo daleki od naszego. Jest prawdą, że w stuleciu Peryklesa, w stuleciu XII i XIII we Francji, w stuleciu Ludwika XIV i w stuleciu Voltaire'a żyli ludzie oświecający myślą, talentem i sercem. Ale czy ci ludzie chcieli tego, czy nie, bezpośrednio lub pośrednio, w sposób mniej czy bardziej widoczny ich czasy, wpływające wśród rozmaitych lub uprawiania sztuk, były możliwe jedynie dzięki nie ludzkiej pracy niewolnika albo tych chłopów, których La Bruyère i Vauban opisują nam pochylonych nad glebą i wyrrywających jakieś korzenie. Ci chłopci mają tylko myśli doraźne, prawie zawsze skierowane ku potrzebom bezpośrednim i pochłaniającym bez reszty ich uwagę. Któż śmiałyby utrzymywać, że w najniebezpieczniejszych warunkach proletariatu, wśród wyzyskiwanej lud-

ności w koloniach albo wśród czarnych w Stanach Zjednoczonych nie istnieją dziś ich spadkobiercy?

Prawdziwa różnica polega na tym, że w przeszłości, gdy ludzkość nie potrafiła wytworzyć dostatecznej ilości środków potrzebnych do życia, działanie wielkiego prawa biologicznej walki o byt było rzeczą zupełnie naturalną. My jednakże mamy szczęście żyć w czasach, w których technika przy pomocy nauki może przekroczyć w produkcji zapotrzebowanie ludzkości. Po raz pierwszy w dziejach całej ludzkości, zatarłszy różnice klasowe, może być w znacznym stopniu wyzwolona spod nacisku pierwotnych potrzeb zwierzęcych. W tej perspektywie materialistycznej mogą z entuzjazmem dojrzeć początek nowego i prawdziwie ludzkiego okresu naszej historii. Ale zdaje się, że i chrześcijaństwo mogłoby zrobić się szczęśliwym, widząc jak zmniejsza się serwitut cielesny, który ciążył dotąd na wolności ludzkiej i zaciemniał pojęcia moralne u większości ludzi. Zdaje się, że odbiegłszy od upatrywania w tak pojętej technice wroga wiary, o czym mówił nam pan Gabriel Marcel, mogliby ujrzeć w niej środek do uczynienia tej wiary czystsza. Tak samo my wszyscy powinniśmy nie tylko z punktu widzenia dobrobytu materialnego, ale również z punktu widzenia najwznioślejszego humanizmu uznać postęp techniczny za podstawową konieczność, stosując ten sam pogląd do badań naukowych, które w naszej epoce stały się bardziej niż kiedykolwiek decydującą siłą napędową.

Nie powracamy jednak w ten sposób do przesadnego optymizmu dziewiętnastowiecznego. Postęp techniczny i naukowy nie wystarcza do zapewnienia człowiekowi szczęścia, trzeba bowiem wiedzieć, w jakim kierunku ten postęp zostanie użytkowany. To zaś jest sprawą porządku społecznego, a nawet porządku politycznego, od którego nie możemy się oderwać, jak to dostatecznie ukaże rozpatrzenie dwóch wielkich zagadnień, wydobytych z całej wyrazistością przez nowoczesny rozwój techniczny. Chodzi o zagadnienie bezrobocia i o zagadnienie użytkowania wynalazków do celów wojennych. Ograniczę się do naszkicowania tych zagadnień w paru słowach.

* * *

Zagadnienie bezrobocia nie jest nowe. Wszelkie udoskonalenia techniczne skracając czas trwania pracy społecznej potrzebnej do uzyskania produktów, stawiają do dyspozycji pewną ilość pracy ludzkiej. W ramach kapitalizmu prowadzi to do coraz szerszych kryzysów bezrobocia: sześć milionów bezrobotnych w Niemczech z roku 1933, dwa razy tyle w Stanach Zjednoczonych niewiele później. W ostatnich czasach chwytano się wielu półśrodków, jak korporacyjności oraz faszyzmu ekonomicznego i politycznego, maskując to wszystko demagogią dobra publicznego, ale w rzeczywistości zawsze dbając o utrzymanie i powiększanie zysków. Próby te okazały się daremne. Tam, gdzie bezrobocie pozornie przezwyciężono, stało się to — tak jak w Niemczech — jedynie dlatego, że przemysł pracował pełną parą dla przygotowania wojny — i rzeczywiście świat został w nią wtrącony. Niezwłocznie po jej zakończeniu okazało się, że wojna niczego nie rozwiązała, bo chociaż spowodowała zniszczenia większe niż każda z wojen poprzednich, to jednak dała nowy postęp techniczny, nowy skok przemysłowy. Nawet same Stany Zjednoczone mają tyle kłopotów z przejściem od gospodarki wojennej do gospodarki pokojowej, że nie wiadomo czy dojdą do tej drugiej. Wyczuwamy niebezpieczeństwo, jakie w tym tkwi dla świata, który na nowo może być pchnięty w nową i straszną awanturę.

W ten sposób schwytałimy kapitalizm wśród jego sprzeczności ekonomicznych i społecznych, staje się przeto zrozumiałe, że ci, których horyzont ogranicza się do kapitalizmu, nie wierzą w postęp ludzkości. Natomiast Związek Radziecki, który od trzydziestu lat kazał pracować maszynom za społeczeństwo bez oglądania się na zysk, nie wątpi ani w postęp naukowy i techniczny, ani w postęp ogólny, ani też w zależność jednego od drugiego. Za tym przykładem nasze masy ludowe pokładają ufność w postępie technicznym i w nauce. W szczególności robotnicy wiedzą, że pewnego dnia maszyny będą należały do zbiorowości i kochają je właśnie dlatego. Zamiast je rozbić, jak to miało miejsce na początku ubiegłego stulecia, wyznaczają w razie strajku straż, która ma czuwać nad ich bezpieczeństwem i konserwacją.

To samo odnosi się do techniki o zastosowaniu wojennym. Czy energia atomowa dostarczy przeraźliwych narzędzi zniszczenia, czy też da ludziom życie wpływające na wygodach i wczasach? Uczeń, który opowiadał tę dziedzinę technicznie, ostrzegł nas uroczyście, że zagadnienie nie należy do porządku naukowego, lecz do porządku politycznego. I również do porządku politycz-

nego należy zagadnienie, czy studia bakteriologiczne będą wykorzystane do leczenia ludzi, czy też do okropnej wojny biologicznej i do przygotowania wyrafinowanych toksyn. Pożyteczne będzie przypomnieć przy tej sposobności, że najważniejszą przyczyną wojen międzynarodowych w naszej epoce są dążności do imperialistycznych podbojów dla zysku, a najważniejszą przyczyną wojen domowych przywileje ekonomiczne, zażarcie bronione przed wyzyskiwanymi masami ludowymi. Staje więc przed nami następujące zagadnienie: w jakich warunkach społecznych i politycznych ludzkość mogłaby się uwolnić od obaw, będących następstwem postępu naukowego i technicznego?

Od pewnego czasu ataki na technikę, na naukę, a nawet na kulturę przestały być czystym zlorzeczeniem słownym ze strony literatów i filozofów. Mężowie stanu logiczną rzeczą koleją zapragnęli przetłumaczyć te przekleństwa na czyny. Myślę w szczególności o kampanii, którą około piętnastu lat temu toczyli ludzie tak reprezentatywni, jak premierzy Cailloux, Doumergue i Flandin, a która da się streścić w słowach pierwszego z nich: „Pogardzajcie naukę. Strzeżcie się techników. Zakujcie nowego Prometeusza”. Jeśli chodzi o francuski przemysł tekstylny, przejawiało się to w zniszczeniu szeregu narzędzi na rozkaz zjednoczenia właścicieli fabryk lnianych, a zwłaszcza przejawiało się w ustawie Flandina o porozumieniu przemysłowym, ustawie uchwalonej 5 marca 1935 r. i pozwalającej fabrykantom wspólnie nadzorować oraz ograniczać wprowadzanie technicznych nowości w przemyśle. Autor tej ustawy oświadczył:

„Dziś chodzi o uwolnienie człowieka od konsekwencji postępu materialnego, który nie zrównoważył się z postępem umysłowym i moralnym”.

Któryś z deputowanych odpowiedział ze znajomością rzeczy:

„Żąda się, aby nie stosowano nowych narzędzi. Badaczom, uczonym, wszystkim tym, którzy rzucają pełną garścią posiew nieznanego żniw, powiada się: przemyśl francuski już was nie potrzebuje. Tak więc kapitalizm społeczny widzi dla siebie jedyny ratunek w powrocie do takiej gospodarki, w której nikt nie zdoła narazić innych na stratę, gdyby zechciał produkować szybciej i taniej, do gospodarki, w której sam postęp techniczny uznaje się za nieuczciwą konkurencję”.

W tym samym okresie miały miejsce podobne usiłowania i w innych krajach kapitalistycznych: w Anglii zniszczono szereg urządzeń w tkalnjach bawełny, w Ameryce ograniczono czas pracy niektórych maszyn włókienniczych, ograniczono użytek konwertorów Bessemera, a w wielu planach samorządowych, nazywanych „łopatowymi i oskardowymi”, ograniczono zastosowanie maszyn przy pracach ziemnych i drogowych. Przede wszystkim jednak w Niemczech propaganda narodo- socjalistyczna wyposażyła ostrą wojnę postępowi i „bezdusznej” technice, która — jak głoszą — sprowadzała człowieka niemieckiego do roli maszyny, zalecano natomiast powrót do starej Germanii. Gdy hitlerizm objął władzę dyktatorską, dokonano szeregu prób w tym kierunku. Ustawa z dnia 1 lipca 1933 roku orzekła w drugim ze swych artykułów:

„Wszelkie prace winny być wykonywane przy pomocy sił ludzkich w tej mierze, w jakiej techniczne środki pomocnicze dadzą się zastąpić, a użycie pracy ludzkiej nie sprowadza nieodpowiadającego wkładu do produkcji”.

W rzeczywistości to ostatnie zastrzeżenie anulowało wyuszczoną tutaj zasadę i antytechniczna ideologia faszyzmu nie posunęła się zbyt daleko w swej realizacji, chociaż miała do rozporządzenia władzę rządu tyrańskiego.

W tym właśnie okresie cztery kraje: Francja, Niemcy, Anglia i Stany Zjednoczone, ale ponadto i inne, jak Japonia i Włochy, gwałtownie z sobą konkurowały. Żaden z nich nie mógł zawrócić z drogi rozwoju technicznego, bo gdyby zawrócił, musiałby podporządkować się jednocześnie innym potęgą imperialistycznym, wtrącić swój naród w nędzę i doprowadzić własny rząd do upadku. Kampania antytechniczna była w pierwszym rzędzie pretekstem do usprawiedliwienia faktu, że cofnięto zaufanie do nauki i badań naukowych, a w niektórych wypadkach zęciano się nad konkretnymi osobami, zmuszając badaczy i profesorów do służby. Zresztą pogarda objęła bez przeszkód całą kulturę. Ciało, serce, duch — taką hierarchię stosowano w nauce, szkolnym zgodnie z poglądami Hitlera, który w „Mein Kampf” ujmował te sprawy w sposób następujący:

„Tym uczonych nie potrafi nigdy wyruszyć na podbój nieba. Uczeń nie są nawet zdolni zapewnić nam egzystencji na ziemi, tym bardziej, że nie ogarniają niczego wola, będąc tylko tchórzliwymi pacyfistami”.

I jeszcze:

„To dlatego, że oni byli za bardzo wykształceni, Niemcy przegrali ostatnią wojnę. U władzy stali ludzie „arcywykształceni”, prawdziwie wypchani wiedzą i rozumem, ale nie posiadali instynktu życia, ani jego energii, ani odwagi”. Z tego powodu przygotowania polityczne, tak samo jak ekwipunek techniczny, były w odniesieniu do wojny światowej niedostateczne”.

Wiemy, jak ten pogląd zastosowano w samych Niemczech. Wiemy, że wypędzono wielu sławnych uczonych i wyrzucono za burtę olbrzymi kapitał umysłowy, a ideologia narodo- socjalistyczna dokonała najeżdżu na wszystkie środowiska uniwersyteckie i literackie, otaczając wszystko chmurą nieprzeniknionych frazesów i zmuszając wielkich dawniej profesorów do poszukiwania sławy wśród wędrowców z tornistrem na plecach. Widzieliśmy, jak obniżył się poziom umysłowy mas, jak runął handel księgarski i jak masowo z braku czytelników znikają nawet dzienniki. W wielkiej katastrofie życia i rozumu ocalało tylko to, co było oddane w lenno państwu militarystycznemu, propagandzie szowinistycznej i przygotowaniu wojennym. W tej dziedzinie, ale i wyłącznie w tej dziedzinie badania i wynalazki nie tylko kontynuowano, lecz wszystkimi siłami zwiększono ich aktywność, tak samo jak to czyniono ze zbrojeniami. Rektor uniwersytetu frankfurckiego, Ernst Kriech, oświadczył:

„Musimy wykiadać naukę nie obiektywną, ale heroiczną, bojową, militarną i militarystyczną. To jest celem naszych uniwersytetów”.

Przypominamy sobie, dokąd to zaprowadziło świat.

Wywołuje te stare wspomnienia sprzed dziesięciu lat dlatego, abyśmy wszyscy razem mogli zadać sobie pytanie, co ma z tamtymi czasami wspólnego, a czym się od nich różni sytuacja obecna.

Aczkolwiek faszyzm został militarnie pokonany w Niemczech i we Włoszech, a niezależna kultura uzyskała w tych krajach niejaki warunki, aby się mogła odrodzić, to jednak Hiszpania generała Franco, Portugalia Salazara i Grecja uciskana przez Tsaldarisa są oficjalnie pozbawione wszelkiego życia umysłowego, które by godne było tej nazwy. Nauka w Grecji jest już tylko teologią, intelektualistów portugalskich masowo złożono z urzędów, więziono, wygnano, wysłano na przymusowy pobyt do kolonii afrykańskich, rząd frankistowski unicestwił doszczętnie szkołę biologiczną w Ramona u Cayala, która była chlubą nauki hiszpańskiej. Wielkie dzieła kultury są dziełami intelektualistów przesładowanych i zaszczutych. W ten sposób toleruje się ohydne pozostałości faszyzmu, udziela się im zachęty i poparcia zagranicą przeciwko uciskanym ludom. Najgłębszą przyczyną tej opieki jest fakt, że ogólna sytuacja kapitalizmu nie jest wcale lepsza niż w roku 1939. Kryzys bezrobocia, opóźniony na skutek zniszczeń wojennych, ukazuje swe pierwsze znaki.

Zasadnicza różnica, jaką wykazuje chwila obecna w porównaniu z sytuacją sprzed dziesięciu lat, mieści się w tym, że podówczas wiele krajów rywalizowało z sobą w polityce mocarstwowej i rządząca burżuazja musiała — chcąc nie chcąc — bronić swych pozycji ekonomicznych i technicznych, a w konsekwencji swych wartości naukowych i kulturalnych. Takich gwarancji dla dóbr kulturalnych mamy dziś o wiele mniej. Niedawny konflikt wyłączył Niemcy i Japonię z rządu mocarstw niezawisłych, osłabiając zarazem znaczenie innych krajów kapitalistycznych. Rozrosła się nadmiernie jedynie polityka ekspansjonistów amerykańskich. Tym, co w wielu naszych krajach zagraża naszemu życiu naukowemu i kulturalnemu, jest niebezpieczeństwo przejawiające się specjalnie w moim kraju: szerokie niebezpieczeństwo ucisku zagranicznego, który nie liczy się z niczym w życiu narodu.

(dokończenie w numerze następnym)

Marcel Prenant
przełożył Adolf Sowiński

TREŚĆ NR 37:

Zofia Nolkowska — Fragment „Węzłów życia”; Kazimierz Brandys — Święta zdrada klerków; Józef Chalasiński — Wojna i wolność kultur narodowych; Włodzimierz Majakowski — Poeta robotnik; Stanisław Ehrlich — „Chłopski socjalizm” Józefa Tito; Leon Gomolicki — Pod jednym płaszczem; Bertold Brecht — Żona żydówka; Stefan Żółkiewski — Kij w mrowisku; Romana Duraczowa — Jeszcze o repertuarze teatrów świetlicowych; Maria Żmigrodzka — Galwanizacja dulszczyzny; Mariusz Margal — Paryski lipiec 1948; Kandyd — Tak toczy się światek; Przegląd prasy; Noty.

LEON GOMOLICKI

Andrzej Żdanow — teoretyk realizmu socjalistycznego

„Najwybitniejszy działacz epoki stalinowskiej, namiętny trybun, niezrównany organizator, propagator i teoretyk marksizmu, odznaczający się wybitnymi zdolnościami działacza wojennego” — tak charakteryzuje wszechstronną działalność Andrzeja Żdanowa słynny poeta radziecki Mikołaj Tichonow.

ŚMIERĆ ŻDANOWA nastąpiła nagle. Radzieccy uczestnicy Kongresu Wroclawskiego zostali niażaskożeni tuż po swoim powrocie z Polski. Jeden z nich, Samed Wurgun napisał w nekrologu Żdanowa: „Dopiero co powróciliśmy ze Światowego Kongresu Intelektualistów w obronie pokoju. My, delegaci radzieccy, broniąc na Kongresie zasad prawdziwej demokracji, wolności i myśli postępu, wolności kultur narodowych, nieraz powoływaliśmy się na prace teoretyczne towarzysza Żdanowa, które natchnęły nas do walki o naszą słuszną sprawę, o pokój i wolność narodu”.

Wypowiedzi, ta i inne, z okazji śmierci Żdanowa wymownie świadczą o twórczej roli, którą odgrywał on w życiu kulturalnym Związku Radzieckiego, przede wszystkim jako teoretyk estetyki marksistowskiej opartej na pracach Lenina i Stalina. Teoria ta nie była dogmatyczna. W myśl zasady stalinowskiej, Żdanow stał na gruncie „marksizmu twórczego”, a swoją teorię wypracował z potrzeb życia mas pracujących. Dlatego też wszystkie wystąpienia Żdanowa odznaczały się wielkim poczuciem rzeczywistości, żywym stosunkiem do zagadnienia, a w metodach wywiedzenia tematu — dobitną prostotą i pasją człowieka, wskazującego rzeczy, które są jasne i oczywiste. Na konferencji działaczy muzyki radzieckiej Żdanow, poirytowany niezrozumieniem przez niektórych tej prostej zasady, że życie artysty jest przede wszystkim bezgranicznym oddaniem sprawie narodu, zwrócił się do obecnych z pytaniem:

„Jeżeli ja, pisarz, artysta, malarz, członek partii nie mogę liczyć na to, że mnie zrozumieją współcześni, dla kogoż w takim razie żyje i pracuje?! Radzieccy ludzie przyzwyczajeni są do tego, aby stawiać na pierwszym miejscu ogólny interes państwowy. Sprawę ogólną uważają za sprawę pałacu, za swoją prywatną sprawę”.

Działalność Żdanowa w rozwoju kultury radzieckiej dotyczyła przede wszystkim sprawy realizacji zasad marksistowskich w nauce, sztuce i literaturze. Referat Żdanowa na pierwszym zjeździe pisarzy radzieckich w roku 1934, jego referat o czasopiśmie leninogradszkim, przemówienie na konferencji muzykologów i kompozytorów radzieckich, dyskusja w sprawie filmu, jak również inne wypowiedzi odegrały wielką rolę, wskazując kierunek rozwoju literatury i sztuki radzieckiej. W Polsce najlepiej jest znane przemówienie jego o zagadnieniach muzyki radzieckiej, z którego większy wyjętek wydrukowany został w „Odrodzeniu” (nr. 26/187 z dnia 27 czerwca 1948). Natomiast wystąpienia Żdanowa, poświęcone literaturze, były mniej omawiane w naszej prasie. Dlatego też niżej streszczam główne zasady poglądu Żdanowa na rolę i zadania literatury radzieckiej, które jednocześnie są zasadami tej literatury i jej głównej metody: realizmu socjalistycznego.

Z zasadniczym przemówieniem na temat literackiej wystąpił Żdanow po raz pierwszy na I Wszechzwiązkowym Zjeździe Pisarzy Radzieckich w Moskwie. Obok przemówienia Gorkiego było to przemówienie o wielkim znaczeniu teoretycznym. Mówca dał w nim próbę syntezy zadań i ich praktycznych rozwiązań w nowoorganizowanej, wtedy młodej, literaturze radzieckiej. Za podstawę dla swoich rozważań obrał Żdanow tezę Lenina: „Będzie to wolna literatura, zapładniająca ostatnie słowo myśli rewolucyjnej ludzkości doświadczeniem i żywą pracą proletariatu

socjalistycznego, podtrzymująca stałe wzajemne oddziaływanie pomiędzy doświadczeniem przeszłości i doświadczeniem teraźniejszości”.

„Nasza literatura, — mówił Żdanow z trybuny przed zjazdem pisarzy, — jest najmłodszą ze wszystkich literatur świata; jednocześnie jest ona najbardziej ideową, najbardziej postępową i najbardziej rewolucyjną. Nie ma i nigdy nie było, poza radziecką, literatury, która by zorganizowała pracujących i upośledzonych do walki za ostateczną likwidację wyzysku i jarzma najemnego niewolnictwa. Nie ma i nigdy nie było, poza radziecką, literatury, która by u podstaw tematyki swojej kładła życie klasy robotniczej i chłopskiej, oraz ich walkę o socjalizm. Nie ma nigdzie, w żadnym państwie świata poza Związkiem Radzieckim, literatury, która by broniła równouprawnienia ludzi pracy wszystkich narodowości, która by broniła równouprawnienia kobiet. Nie ma i nie może być w państwie burżuazyjnym literatury, która by konsekwentnie demaskowała każde wstępczość... Taką postępową, ideową, rewolucyjną literaturę mogła stać się tylko literatura radziecka — krew z krwi, kość z kości naszego budownictwa socjalistycznego”.

Żdanow widział swoje zadanie w ustaleniu definicji literatury radzieckiej, w wytyczeniu linii jej rozwoju i wskazaniu jej metod. Z większą pasją ironii i oburzenia zaatakował Żdanow w 1948 roku odchyleń, które zarysowały się w literaturze w okresie powojennym. Zwalczał pozostałości formalistycznych i bezideowych prądów, z ponowną siłą zaakcentował jako główną cechę literatury radzieckiej jej ideowość i demokratyczność.

„Nasza literatura — mówił — nie jest przedsiębiorstwem prywatnym, nastawionym na zaspokojenie przeróżnych gustów rynku literackiego. Nie mamy żadnych obowiązków reprezentowania w naszej literaturze upodobań i zwyczajów, nie mających nic wspólnego z moralnością i walorami ludzi radzieckich. Niektórzy pisarze tłumaczą swoje pozostawanie w tyle w stosunku do wielkich tematów współczesnej rzeczywistości radzieckiej, twierdząc, że nadszedł czas, kiedy narodowi można dać literaturę rozrywkową, kiedy można nie liczyć się z ideowością utworu. Jest to głęboko krzywdzące zdanie dla naszego narodu. Naród nasz oczekuje, aby pisarze radzieccy przemysłili i uogólnili olbrzymie doświadczenia wojny, aby uświadomili i uogólnili to bohaterstwo, z którym obecnie naród pracuje przy odbudowie

gospodarstwa kraju po wypędzeniu wrogów”.

Powodem omyłek i niedociągnięć w literaturze, jak sądzi Żdanow, było to, że redaktorowie czasopiśm leninogradszkich, działacze literatury radzieckiej jak również kierownicy frontu ideologicznego w Leningradzie zapomnieli o niektórych zasadniczych tezach leninizmu w literaturze. Myśleli oni, że polityka jest wyłącznie sprawą rządu, sprawą KC. „Napisał człowiek dobrze, artystycznie, ładnie — więc trzeba to puścić w świat niezależnie od tego, że utwór ten może zawierać w sobie zgniliznę, trującą i dezorientującą czytelnika”.

W dalszym ciągu przemówienia Żdanow nawiązywał zasady literatury radzieckiej do tradycji postępowej literatury rosyjskiej wieku XIX, określając ją jako literaturę walczącą o najświetlejsze ideały narodu. Robiąc przegląd rosyjskiej myśli krytycznej i postępowej Żdanow przeszedł od nazwisk Bielinskiego, Dobrolubowa, Czernyszewskiego, Szchedrina i Plechanowa do prac Lenina, cytując jego podstawowy artykuł pt. „Partyjnna organizacja i literatura partyjna”. W artykule tym Lenin twierdził, iż jest konieczne, aby sprawa literatury stała się częścią sprawy ogólnoproletariackiej. „Życie w społeczeństwie, a być niezależnym od społeczeństwa — niesposób, — pisał Lenin, — niezależność burżuazyjnego pisarza, malarza, a która jest tylko zamaskowana (lub obłudnie maskowana) zależnością od sakiewki, od łapówki, od utrzymania”.

Cytując te słowa Żdanow wnioskował: leninizm wychodzi z założenia, że literatura radziecka nie może być apolityczna, nie może uprawiać „czystej sztuki”, lecz powołana jest do ważnej przodującej roli w życiu społeczeństwa. Jest to główne założenie teorii leninowskiej o partyjności literatury — najważniejszy dorobek myśli Lenina w dziedzinie nauki o literaturze. Leninizm nadaje literaturze doniosłe społecznie i budujące znaczenie. Gdyby literatura pozwoliła sobie na obniżenie tej swojej wielkiej roli wychowawczej — oznaczałoby to ruch wsteczny, powrót do „wieku kamiennego”. Stalin nazwał pisarzy radzieckich inżynierami dusz ludzkich. Określenie to nakłada olbrzymią odpowiedzialność na pisarzy radzieckich, jako wychowawców narodu i zobowiązuje ich do utrzymania wysokiego poziomu swojej sztuki.

Naród radziecki, według Żdanowa, oczekuje od pisarza prawdziwego ideowego uzbrojenia, pokarmu duchowego, który dopomógłby sprawie wykonania planów odbudowy i dalszego rozwoju gospodarstwa narodowego.



Andrzej Żdanow

wego. Naród chce wyciągnąć wnioski z dokonujących się wydarzeń. „Nie można żyć naoslep, — mówi Żdanow, — nie troszcząc się o dzień jutrzejszy nie tylko w dziedzinie produkcji materialnej, lecz również w dziedzinie produkcji ideologicznej. Nasi ludzie radzieccy wyrosli o tyle, że nie będą już chcieli „spożywać” każdej produkcji duchowej, jaką im tylko podadzą. Działacze kultury i sztuki, którzy nie przebudują samych siebie i nie potrafią zadowolić wzrastających potrzeb narodu, mogą rychło stracić jego zaufanie... Literatura jest najważniejszą sprawą dla narodu; dlatego każde jej dodatnie zjawisko naród uważa za swoje zwycięstwo. Dlatego każdy udany utwór można przyrównać do wygranej bitwy, lub do większego zwycięstwa na froncie gospodarczym. I przeciwnie, każde niepowodzenie w literaturze radzieckiej zostaje uznane za krzywdę i klęskę przez naród, partię i państwo”.

Kończąc swoje przemówienie Żdanow wskazał, że miejsce pisarza jest na linii frontu ideologicznego. Literatura jest nie tylko odzwierciedleniem życia, lecz przetrznięciem w przyszłość, czynnikiem sił postępu, wskaźnikiem kierunku rozwoju narodu. Jest to główna zasada realizmu socjalistycznego, opartej na światopoglądzie materializmu dialektycznego w myśl tezy Stalina:

„Dla metody dialektycznej ważne jest przede wszystkim nie to, co wydaje się w danej chwili trwałe, ale zaczyna już obumierać, lecz to, co powstaje i rozwija się, chociaż nawet wygląda w danej chwili nietrwale, ponieważ trwałe jest właśnie to, co powstaje i rozwija się”.

Teza ta dobitnie rozgranicza dwa światopoglądy, dwie estetyki: dawną — realizm krytyczny i nową — literatury radzieckiej. Gorkij, Fadiejew, Szolochow i wielu innych pisarzy radzieckich dali jej wyraz w swojej twórczości. Żdanow zakreślił granice oddziaływania literatury, wskazując jej miejsce w ogólnym układzie sił państwa socjalistycznego. Rola Żdanowa jako teoretyka i propagatora marksizmu w dziedzinach nauki, filozofii, sztuki i szczególnie literatury niewątpliwie wychodzi daleko poza ramy wewnętrznej polityki kulturalnej Związku Radzieckiego. Zaakcentowane to zostało z wielką dobitnością ostatnio w nekrologach Żdanowa, które ukazały się w postępowej prasie światowej. Działalność Żdanowa omawiana jest w tych nekrologach od strony jej znaczenia dla ogólnej kultury socjalizmu.

Leon Gomolicki

ZYGMUNT RADEK

STRZELNICA

O fabryk kapeluszy, kretonów i nici
Robotnice obrzektę, jak wosk przezroczyście!
Uciekają od okien nim je śmierć pochwyli.
Nim w stosie iskier spleonie suchy róż pocisków.

Nie odwracają wzroku wstecz, giną czym prędzej,
A z otworów wybucha jaskrawy tłum ognia.
Uciekają daszkami, pod oknami, między,
O koralowych włosach agaw i korzeni.

Śliczne siostry, Diabelskie opuszczając wyspy
Wpadają w teleskopów lustra i busole,
Sadza prochu zakwita na ich rysach czystych,
Na wszystkich cyfrach tarczy w koncentrycznym kole.

Nie mogą patrzeć, Wyrzwał oslepią mi oczy,
Drewniane zwłoki niszczy purpurowy pożar.
Na chuście Weroniki jakaś twarz krwawi broczy,
Profil strzelca czerwienią pali się jak zorza.

Ciżbo stubarwna, pochłoń moich wrzesań piekło:
Popioły kapiszonów, owoców i marzeń,
Kaluże, gdzie mordercy w płynnej lawie krzepną,
Wypij młodość stopioną w ogniu przeobrażeń.

JÓZEF CHAŁASIŃSKI

Wojna i wolność kultur narodowych (II)

NARÓD JAKO JEDNOSTKA HISTORYCZNA A ORGANIZACJA POKOJU

SKUTECZNE przeciwdziałanie wojnie jest możliwe w krajach kapitalistycznych. Ale trwała światowa organizacja pokoju, która usuwała wojnę z polityki międzynarodowej, nie wydaje się możliwa inaczej, jak w oparciu o przeobrażenia społecznego ustroju poszczególnych narodów.

Organizacja pokoju nie jest sprawą moralności indywidualnej. Nie jest sprawą udoskonalenia dusz ludzkich. Jest to sprawa społecznej organizacji — społecznego ustroju poszczególnych narodów i całego świata.

Nie ulega wątpliwości, że podstawową jednostką historyczną, która wchodzi w grę przy wszelkich rozważaniach dotyczących przyszłej organizacji świata — jest naród. Wspólnotę światową, światową organizację można opierać tylko na narodach. Do jej podstawowych zasad musi należeć równorzędność narodów i gwarancje ich samodzielnego rozwoju

kulturalnego. Koniecznością jest jednak zdawanie sobie sprawy z przeobrażeń, jakim podlegała społeczna i kulturalna struktura nowoczesnego narodu w ciągu ostatniego stulecia. Ze zrozumienia tych przeobrażeń wynika także określenie miejsca i roli intelektualistów świata w obecnej dobie historii.

Ważne jest przede wszystkim zrozumienie historii nowoczesnego narodu w okresie imperializmu. Kapitalizm odegrał ważną rolę w historii nowoczesnych narodów.

Podważając podstawy feudalizmu, kapitalizm niweczył stanowe przeszkody na drodze formowania się nowoczesnego narodu. Liberalny okres kapitalizmu był okresem wielkiego rozwoju kultur narodowych.

Sytuacja zmieniła się zasadniczo w imperialistycznej fazie kapitalizmu.

Światowe koncerty kapitalistyczne, które dla własnych celów wyzyskują nacjonalizmy różnych krajów, straciły charakter narodowy. Koncerty kapitalistyczne mają siedziby w różnych krajach: w Anglii, w Ameryce, w Niemczech, we

Francji. Ale ich adresy są rzeczą drugorzędną. Adres centrali United Steel, lub Standard Oil jest rzeczą obojętną. Z istoty swej nie są one związane z poszczególnymi narodami. Stosunki amerykańskie dostarczają pod tym względem niezastąpionego materiału historycznego i socjologicznego.

Na przykładzie Ameryki występuje z całą oczywistością często popełniany błąd utożsamiania pojęcia państwa i narodu. Państwo amerykańskie, jego polityka i mechanizm rządzenia są w obecnej chwili pod przemożnym wpływem kapitalistycznych gigantów. Naród amerykański jest jednakże pojęciem szerszym, które obejmuje różnorodne dziedziny kultury i życia zbiorowego wymykające się spod decydującego wpływu sfer kapitalistycznych. Nie można oczywiście lekceważyć roli kapitalizmu w kształtowaniu się całego narodu. Kapitalizm przenika nie tylko gospodarce i politykę, lecz także kulturę amerykańską, filozofię i naukę, sztukę i wychowanie. Nie można jednak niedoceniać roli, jaką w kształtowaniu naro-

du amerykańskiego odgrywają jego ruchy ludowe i jego wielkie ludowe tradycje. Postępowe ruchy Ameryki zwracają właśnie uwagę na pogłębiającą się przepaść pomiędzy amerykańskim państwem, które staje się coraz bardziej narzędziem imperialistycznej polityki wielkich gigantów kapitalistycznych, a amerykańskim narodem, dumnym ze swoich wielkich tradycji ludowych i pragnącym rozwoju kultury narodowej w ich duchu, i w duchu pokojowej współpracy z innymi narodami.

O stosunku amerykańskiego państwa do problemów kulturalnych amerykańskiego narodu bardzo wiele mówi struktura amerykańskiego budżetu federalnego. Henry Wallace w głośnym liście otwartym do prez. Trumana zwracał uwagę na to, że w sumie preliminarz federalnego na 1947 r., przedłożonego kongresowi, wynoszącej 36 miliardów dolarów, około 13 miliardów, czyli połowę wynosił preliminarz Departamentu Wojny i Floty. Jeżeli się doda do tego pozycje dotyczące kosztów wojen ubiegłych, jak odsetki od

zadłużeń i zasiłki dla weteranów wojennych, to kwoty związane z Departamentem Wojny zwiększą się do 28 miliardów czyli 80% ogólnej kwoty preliminarza*. Sumy przeznaczone dla Departamentu Wojny są w tym budżecie 10 razy większe niż w 1930 r. Równocześnie sfery kapitalistyczne konsekwentnie od paru pokoleń przeciwstawiają się finansowaniu szkolnictwa przez rząd federalny. Szkolnictwo amerykańskie, będące w stanie chronicznego upośledzenia, zależne od patronatu kapitalistycznego, wykazuje olbrzymie nierównomierności rozwoju i zasadnicze zaniedbania. Według spisu z 1940 r. około 2 miliony dzieci w wieku od 6 do 15, czyli wieku obowiązku szkolnego nie uczęszczało do szkoły. Drugie tyle na ogólną liczbę 26 milionów dzieci szkół elementarnych i średnich uczęszczało do szkół, które nie odpowiadały najbardziej elementarnym wymaganiom pedagogicznym. Według informacji angielskich, najbogatszy kraj świata wydaje na szkolnictwo 1,5% dochodu narodowego, Anglia — 3%, a ZSRR — 7,5%.

Nie mniej drastyczny obraz przedstawia organizacja lecznictwa, które zaniedbuje najbardziej elementarne potrzeby narodu w tej dziedzinie.

Rozdzielanie się państwa i narodu tak uderzające dla stosunków amerykańskich, nie jest zjawiskiem odosobnionym. Jest ono wyrazem historycznej tendencji rozwojowej, która cechuje w ogóle rozwój kapitalistycznych krajów. Nowoczesną historię kapitalistycznych krajów cechuje z jednej strony coraz większe znaczenie ruchów ludowych w kształtowaniu się narodu, a z drugiej — coraz silniejsza tendencja sfer kapitalistycznych do podporządkowywania państwa własnym interesom ekonomicznym.

W historii narodu, w jego przeobrażeniach społecznych i w jego historycznych tendencjach rozwojowych szukać należy podstaw dla trwałej pokojowej organizacji świata. Przyszłości nie można tworzyć w oderwaniu od przeszłości. Teraźniejszość można budować tylko z historycznego budulca. Ale ten budulec można i trzeba odpowiednio dobierać. Nauka historii daje nam znajomość budulca, z jakiego możemy konstruować teraźniejszość i przyszłość społeczeństwa.

NARÓD I SOCJALIZM A SPRAWA POKOJU

Upraszczając z konieczności obraz historyczny, można powiedzieć, że społeczna historia nowoczesnej Europy — to proces przekształcania się narodowego państwa, opartego na hegemonii klas posiadających w kulturalną, społeczną i moralną wspólnotę narodu ludowego. Do Wielkiej Rewolucji Francuskiej pojęcie narodu i pojęcie państwa były utożsamiane. Od Wielkiej Rewolucji oddzielają się od siebie. Pojęcie narodu staje się w stosunku do państwa nadrzędnym pojęciem moralnym**).

Nowa idea narodu wyszła z Wielkiej Rewolucji Francuskiej, jako wielka rewolucyjna idea moralna i ludowa. Wiązała się ona z uaktywnieniem nowych klas społecznych; najpierw mieszczaństwa a następnie klasy robotniczej. Idea narodu stała się podstawowym elementem ideologicznym społecznych ruchów i społecznych walk. Jej upowszechnienie szło w parze z postępującym procesem emancypacji i politycznego podnoszenia się chłopów i robotników.

Po Wielkiej Rewolucji Francuskiej klasy panujące — arystokracja i wielkie mieszczaństwo — dążąc do zachowania społecznego przywództwa, nie mogły już obejść się bez idei narodu. Idea narodu miała służyć im wobec mas ludowych jako legitymacja i sankcja ich moralnych praw do sprawowania kierownictwa. Anektując tę ideę dla siebie, klasy panujące nadały jej charakter reakcyjny i antyludowy. W stosunku do innych narodów — wrogi, agresywny, zaborczy. Konserwatywna, reakcyjna idea narodu stała się istotnym ideologicznym elementem pojęcia nacjonalizmu.

Tak pojęty nacjonalizm był siłą nie tylko w społecznym i politycznym życiu Europy z końca XIX w.; on także kształtował naukową problematykę ruchów społecznych tego okresu. Z politycznej areny do nauk społecznych przeszło pojmowanie konserwatywnego i reakcyjnego nacjonalizmu, jako jedynego ruchu narodowego.

* List otwarty Henry Wallace'a do prezydenta Trumana. „Odrodzenie“ z dnia 20.X 1946

** Zagadnień tych dotyczy J. Chalasiński: „Idea narodu i idea socjalizmu w dziejach nowoczesnej Europy. Łódź 1948.

Stąd też wzięło się traktowanie ruchu socjalistycznego jako ruchu nienarodowego, wrogiego istocie narodu. Stanowisko to jest z punktu widzenia naukowego fałszywe.

Historycznym nurtem, który odgrywał zasadniczą rolę w kształtowaniu się nowoczesnej wspólnoty narodu ludowego był ruch socjalistyczny w szerokim rozumieniu. Ruch ten łączył ideę narodu z ideą braterstwa narodów. Ruch ten nawiązywał do rewolucyjnego pochodzenia idei narodu i równocześnie do uniwersalnych ideałów wolności i człowieczeństwa. Wyrazem tej historycznej tendencji jest również połączenie idei narodu z ideą komunizmu i internacjonalizmu w ZSRR.

Czołowy przedstawiciel socjalistycznego ruchu francuskiego Jean Jaurès, zamordowany w 1914 r., pisał: „Demokracja i naród pozostają warunkami zasadniczymi, podstawowymi wszelkich twórczych wyższych i późniejszych... Wszędzie, gdzie są ojczyzny, to znaczy wszędzie gdzie istnieją grupy historyczne, posiadające świadomość jedności i ciągłości, wszelki zamach na wolność i całość ojczyzny jest zamachem na cywilizację, jest cofaniem się ku czasom barbarzyństwa“. Socjalizm Jaurès'a był narodowy i równocześnie międzynarodowy. Socjalizm Jaurès'a był narodowy, lecz walczył z tą historyczną tradycją narodową, która godziła ze sobą wiarę w duchową supremację cywilizacji chrześcijańskiej z zorganizowanym systemem klasowego wyzysku. Socjalizm przywracał ideę narodu jej rewolucyjny charakter, który wyniosła z Rewolucji Francuskiej, a którą zatraciła, gdy po zwycięstwie burżuazji stała się sankcją moralną jej hegemonii i przywilejów burżuazji, gwarantką niezmienności ustroju opartego na klasowym wyzysku.

Z punktu widzenia postępu wynalazczości technicznej, oddającej w ręce człowieka olbrzymie zasoby energii, mogącej zniszczyć łatwo całą cywilizację ludzką, gospodarka oparta na zasadach wyzysku klasowego w odniesieniu do podstawowych źródeł energii, podstawowych bogactw naturalnych, podstawowych dziedzin produkcji i w ogóle materialnych podstaw dobrobytu — stała się absurdem.

W procesach przeobrażeń nowoczesnej Europy idea narodu, idea socjalizmu i idea pokoju stają się coraz bardziej nierozłączne. To połączenie jest wyrazem historycznej tendencji rozwojowej, która nabiera coraz bardziej dominującego charakteru. W tym połączeniu zawiera się równocześnie nowa socjologiczna zasada pokojowej organizacji świata. Podstawowymi jednostkami tej organizacji mogą być tylko narody. Muszą to być jednak narody o przekształconej strukturze społecznej. Narody, które wyszły z wojenno kapitalistycznego okresu swojej historii. Narody w których duchowe, ekonomiczne i polityczne kierownictwo ma charakter ludowy i jest wyrazem tych klas historycznych, które nigdy na wojnie nie robi-

ły interesów, a zawsze ją opłacały morderstwem własnej krwi i cierpieniem. Tę koncepcję pokoju reprezentuje ZSRR i kraje demokracji ludowej.

Idea rządu światowego opartego na dotychczasowych państwach kapitalistycznych w praktyce może oznaczać tylko hegemonię „Herrenvolku“, narodu panów nad „murzyńskimi“ krajami.

Koncepcje rządu światowego, oparte na dotychczasowych politycznych ustrojach kapitalistycznych, w praktyce sprowadzają się do Churchillowskiej idei Stanów Zjednoczonych Europy pod hegemonią Ameryki. Koncepcja taka, łączona z ideą światowego ładu i światowego pokoju, maskuje dążenia do imperialistycznej ekspansji, zagrażające wolności narodów i ich swobodnemu rozwojowi kulturalnemu. Łączy się ona z ideą krucjaty przeciwko socjalizmowi. I zamiast pokoju nieświeżości grozi „świętej wojny“.

Swojemu stosunkowi do socjalizmu Churchill dał wyraz niedawno w przemówieniu do wyborców. „Gniebi nas śmiertelny błąd — mówił Churchill. — Socjalizm jest filozofią zniszczenia i ewangelią zawzięci. Jeżeli, dopóki jeszcze czas na to, nie uwolnimy naszego kraju od przewrotnych doktryn socjalizmu, nie będzie żadnej nadziei na uzdrowienie“.

SOCJALIZM TO SPRAWA KULTURY EUROPEJSKIEJ — POKÓJ JAKO ZAGADNIENIE USTROJU SPOŁECZNEGO

1. Sprawa socjalizmu wysunęła się na czoło problemów kultury europejskiej w konsekwencji historycznego rozwoju Europy. Można powiedzieć, że dzisiaj problem socjalizmu to problem całej Europy. Ciągła linia historycznego rozwoju prowadzi od Rewolucji Francuskiej do Rewolucji Bolszewickiej 1917 r., a poprzez Rewolucję Bolszewicką do współczesnych przeobrażeń społecznych w krajach demokracji ludowej. Idea socjalizmu wyrosła z bogatej tradycji humanistycznej kultury Europy, a jego teoria naukowa ze zrozumienia technicznego i ekonomicznego rozwoju cywilizacji. Podział Europy na dwie części: na tę za socjalizmem i na tę przeciw niemu jest absurdalny i obcy duchowi kultury europejskiej. Postulowanie się tym podziałem w propagandzie politycznej potęguje śmiertelne niebezpieczeństwo podziału Europy na wrogie obozy wojenne, co niesie w sobie groźbę zupełnego zniszczenia europejskiej kultury.

2. Historyczna idea socjalizmu nie sprowadza się do sprawy organizacji gospodarczej. W socjalistycznym ideale społeczeństwa zawiera się postulat supremacji wartości społeczno-moralnych nad gospodarczymi. Sens socjalizmu to stworzenie gospodarczej podstawy dla pełnego i swobodnego rozwoju kulturalnego ludzkości. Walka o socjalizm w Europie to walka o

* „The Observer“, Sunday, June 13, 1948.

MIECZYSLAWA BUCZKÓWNA

POLEGŁEMU

Odszedłeś. Odległość między nami czasem coraz większa cię niszczy. Światło dzienne obraz twój plami, cieniem zapomnienia — milknieś.

Zabierając wszystkie słowa, ich barwę — nie zostawiasz mi nic prócz cienia, nieuchwytnego już w kształcie, jak chmura, gdy wiatr ją zmienia,

unoszą, rozprasza po niebie, gdy po dniu noc gasi me okno, podwójnie odbiera mi ciebie nieodwołalną ciemnością.

GŁOSY ŻYWE

Kłamałam zachwyty nad ciszą wieczoru,
ręce zanurzone w wodzie drżały od przemian;
owady niskim przelotem przecinały ciszę budząc dźwięki,
senna leśniczyna, brzoza, żabna jodła,
jeżyn owoc czerniał, kwiat stulony w żalu wieczornym,
wszystko — znaki nieszczęścia.
Drzewa kamienne,
ptak przeleciał nie usiadł, dotknął skrzydłem śpiewu,
gwiazda nad wierzchołkiem, drżała błada, nie spada,
wiatr nadeiagnął, rozchwiał, lecz ominął.
Drzewa kamienne,
ich szum nie jest jak mowa, nie jest nawet jak milczenie.
Mijające życie zbyt jest trudne
dla martwego piękną rozrzuconych gałęzi.
Kłamałam zachwyty nad ciszą wieczoru,
dopiero ludzie wracający z pola
w pozdrowieniu przynieśli mi głosy żywe.

zabezpieczenie prymatu najwyższym wartościom kultury europejskiej. Socjalizm to sprawa kultury europejskiej.

Toteż droga do socjalizmu nie jest łatwa. Socjalizm jest ustrojem, który wymaga maksimum uaktywnienia materialnych i duchowych sił społeczeństwa. Dlatego drogą do socjalizmu każdy kraj musi przejść samodzielnie.

3. Koncepcja światowego rządu opartego na państwach kapitalistycznych w praktyce opiera się na zasadzie panowania narodu „panów“ nad krajami „murzyńskimi“.

Zasada równości narodów i poszanowania odrębności narodowych oraz odrębnych dróg przebudowy społecznej przy jak najdalej posuniętej międzynarodowej gospodarce i politycznej oraz kulturalnej współpracy — to historyczna konieczność całej Europy, leżąca w interesie jej dalszego rozwoju i zgodna z najlepszymi tradycjami liberalizmu w kulturze europejskiej.

4. Jeżeli Europa nie ma pograżyć się w chaosie i stoczyć w otchłań bezmyślnych wojen — to współdziałanie i rywalizacja narodów europejskich coraz bardziej zśrodkowywać się musi na centralnym problemie przystosowania nowoczesnej techniki do duchowych potrzeb człowieka i społeczeństwa.

Takie konkluzje wynikają — moim zdaniem — z historycznego doświadczenia cywilizacji ludzkości. Nie sądzę jednak, aby uniknięcie wojny zależne było od przyjęcia przez wszystkich jednej teoretycznej interpretacji naszego doświadczenia historycznego, albo od przyjęcia jednego ustroju dla wszystkich krajów.

5. Trzeba rozróżniać pomiędzy doraźnym programem przeciwdziałania zgubnej propagandzie wojennej, a długodystansowym planem budowy światowej organizacji pokojowej. Dla akcji doraźnej wystarczy, jeżeli zgodzimy się na to, że wojna nie jest fatalną koniecznością, że jest śmiertelnym niebezpieczeństwem dla każdego narodu, że od nowoczesnej wojny nie możemy oczekiwać konstruktywnego rozwiązania żadnego problemu współczesnej cywilizacji, że nie ma ona tylko zgrubę i zagładę narodów i ich kulturze. Wystarczy, jeżeli zgodzimy się na to, że wzajemne poszanowanie wolności narodów jest koniecznym warunkiem pokoju i konstruktywnego rozwiązywania problemów naszej cywilizacji.

Intelektualiści muszą wziąć aktywny udział w światowej akcji społecznej, mającej na celu odebranie wojnie aprobaty moralnej. Muszą zwracać uwagę na istniejącą groźbę wojny. Groźba ta zawiera się w tendencjach do organizowania świata na zasadach regionalnych bloków pod różnymi hasłami „atlantyckiej kultury“ lub obrony „zachodniej Europy“. Nie wolno zapomnieć o tym, że pod hasłem obrony zachodniej Europy hitlerzyzm wniszczył całe narody. Nie wolno zapomnieć o tym, że faszyzm i hitlerizm zaczęły się od hasła obrony Europy przed komunizmem.

Doraźny program przeciwdziałania wojnie nie powinien nam jednak zamknąć oczu na program dalszy, długodystansowy, który by sprawę światowej organizacji pokoju wiązał z przeobrażeniami społecznej struktury narodów.

Droga do trwałego pokoju oznacza równocześnie drogę do nowego ustroju społecznego. Taka konkluzja wynika moim zdaniem z historycznego doświadczenia cywilizowanej ludzkości. Nie sądzę, aby taka konkluzja zależna była od przyjęcia przez wszystkich jednej teoretycznej interpretacji naszego doświadczenia historycznego. Wiadomo, że do tego postępu dochodzą ludzie różniący się w poglądach na szczegóły mechanizmu historii. Nie oznacza to również przyjęcia identycznego ustroju społecznego dla wszystkich krajów. Wyklucza to jednak możliwość ugody z siłami reakcji i zakłada konieczność przeobrażeń ustrojowych w duchu sprawiedliwości społecznej.

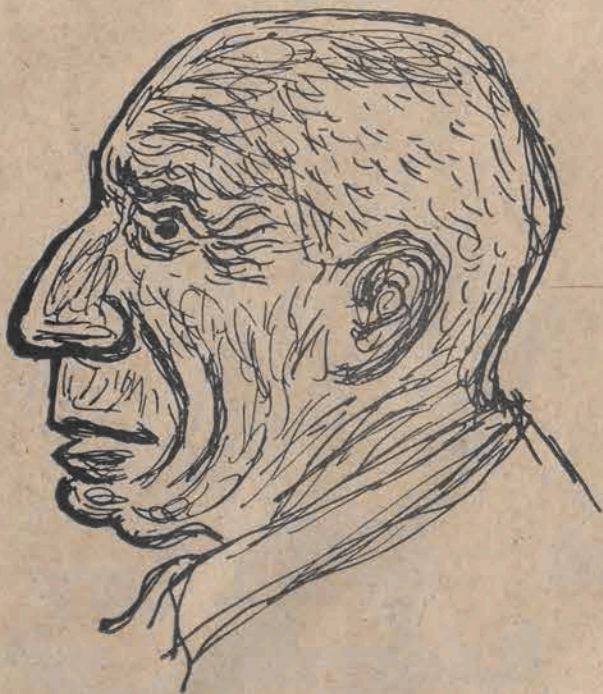
Polska weszła na ten szlak budowy nowego ustroju społecznego. Dumni jesteśmy z naszych osiągnięć na polu gospodarczym, społecznym i kulturalnym. Tak samo jak dumni jesteśmy z naszej starej europejskiej kultury. Świadomi również jesteśmy tego, że budując nowe społeczeństwo, rozwiązujemy nie tylko własne problemy historyczne, lecz również problemy Europy.

Z drugiej strony świadomi jesteśmy tego, jak bardzo nasze wysiłki i nasze drogi realizacji zależne są od współpracy wszystkich narodów europejskich. Do historycznej istoty narodu należy nie tylko to, że jest wspólnotą, lecz także to, że jest zbiorową jednostką bardziej ogólnej wspólnoty kulturalnej europejskiej i światowej.

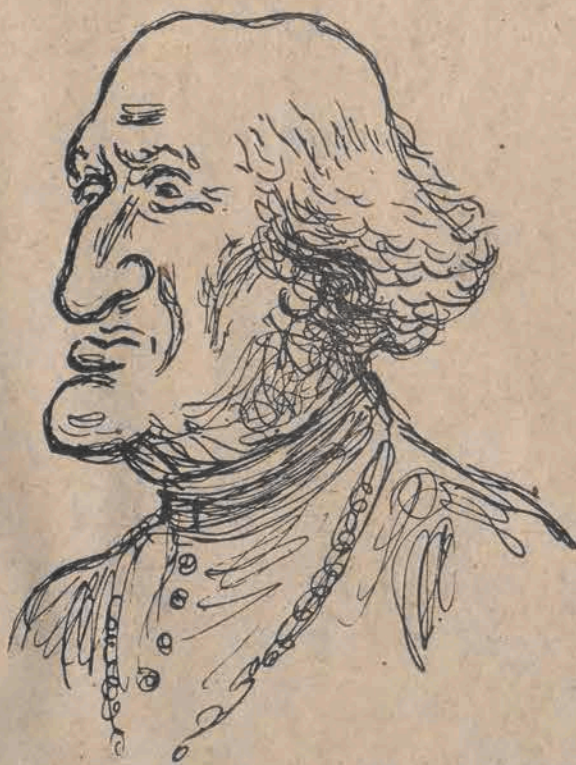
Józef Chalasiński

WŁADYSŁAW DASZEWSKI

Notatki ze szkicownika kongresowego



Pablo Picasso



Hawlett Johnson



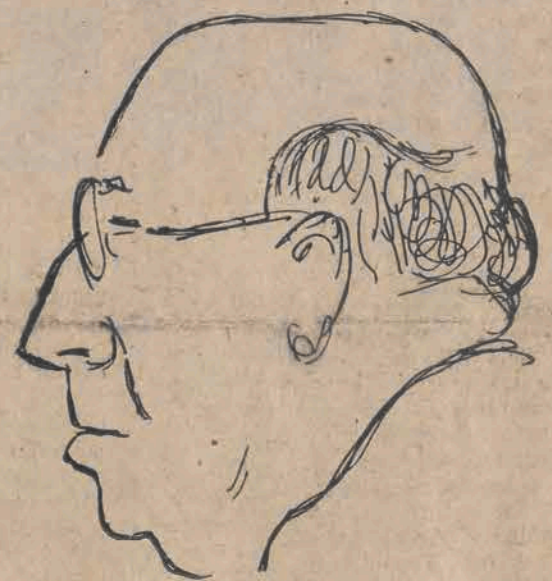
Wladimir Dimitrow



Jerzy Borejsza



Ilija Erenburg



E. W. Tarle



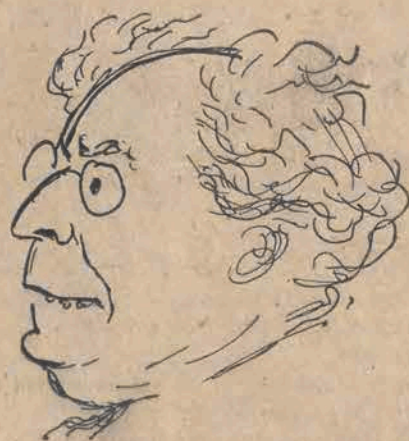
Julien Benda



Fernand Léger



J. B. Haldane



Martin Andersen Nexø



Dawid Zaslawski

ANATOL STERN

ilustrował K. Sosnowski

P O S A G

ZNACIE, zapewne, historię „szczęśliwego księcia”, który ujrzał całe nieszczęście swych poddanych dopiero wówczas, gdy jako marmurowy posąg znalazł się na cokole: wypadek, który często się zdarza władcóm tego świata.

Może słyszeliście również opowieść o kamiennym posągu komendora, który przybył na ucztę, wyprawioną po jego śmierci przez jego niewierną żonę, i wśród popłochu gości wyciągnął kamienną prawicę ku jej kochankowi — sztychtem Don Juanowi!... A może nawet byliście sami na tej uczcie, i pamiętacie jeszcze wraz z mną, jak chrzęstnęły kości zuchwałej dżoni, miażdżonej kamienną prawicą shańbionego męża?... I jak błada, jak płótno śmiertelne, donna Anna schwyłała się ręką za serce z łkającym krzykiem, który przypominał krzyk zestrzelonej, konającej w szuwarach nadbrzeżnych dzikiej kaczki!...

I oczywiście, znana wam jest doskonała owa stara liryczna plotka o młodym człowieku, imieniem Pigmalion, który zakochał się w posągu pięknej dziewczyny. Zakochał się tak płomiennie, że ucałowana przezeń kiedyś w usta marmurowa dziewczyna poczuła, jak ów pocałunek sparzył jej wargi, a w twardej piersi obudziło się pożądanie takie same, jakie znają tylko bogowie, ludzie i zwierzęta. W te historie nie wątpię ani przez chwilę: mam przyjaciela, który sam jest żonaty z posągiem pięknej kobiety i ma nawet z nim (z tym posągiem) dzieci. Przyjaciel mój jest szczęśliwy; narzeka jednak, że w przeciwstawieniu do marmurowej Galatei, jego posagowa żona nie ma pojęcia o tym, czym jest namiętność.

Rodzina posągów jest na ogół dość liczna. Ich przejścia są nie mniej dziwne niż burzliwe losy żywych ludzi. Do jednego z dziwniejszych wypadków zaliczam wypadek pochowania posągu. Był to posąg starego cesarza Franciszka Józefa, stojący w ogromnym starym ogrodzie, przed pałacem należącym do pewnego szambelana papieskiego. (Historia ta znana mi jest szczególnie dobrze, gdyż szambelan był ojcem przyjaciela mego, zupełnie zwariowanego i niekiedy prawie genialnego). Szambelan otaczał posąg ubóstwianego przez się monarchy czcią nie mniejszą, niż posąg św. Franciszka Salezego, swego patrona, który znajdował się tamże w wystawionym przezeń kościółku, na granicy dwóch Ukrain. Kiedy Rosja obudziła się z wielowiekowej drzemki — słowem, gdy nadeszła rewolucja — Szambelan drząc o los swego stojącego na piedestale monarchy i już widząc oczyma wyobraźni, jak strącają go i rozstrzaskują twarde chłopskie ręce, postanowił pochować go wraz z jego wszystkimi marmurowymi orderami i takimiz bokobrodami. Pogrzebano monarchę austriackiego ze wszystkimi honorami, nocą, przy świetle krwawo płonących pochodni. Dzieśięcioletni małeć, który został potem poetą, zapamiętał sobie tak dobrze tę scenę, że świat posągów i żywych ludzi pomieszał mu się już potem na całe życie.

Nie chcę już przypominać na tym miejscu martyrologii posągów czasu tej wojny. Ich kamienne i brązowe ciała umęczono niemniej okrutnie, niż ciała żywych ludzi. Niech to nie uraża niezwyjli wrażliwości, że piszę jednak o jednych i o drugich. Głowa Mickiewicza, pchnięta podkutym butem germańskiego kanna — oderwane ramię Chopin'a — przebita

piers Kopernika — to boli, to bardzo boli. Zdziwiałe są historie posągów. Chciałbym tu podzielić się z wami jedną z najbardziej wzruszających, jakie znam — historią o posągu bohatera. Jest to historia prosta i naiwna. Postaram się nie z jej naiwnego wdzięku nie uronić, i opowiedzieć ją tak, jak opowiedziała mi ją owa pijana staruszka, którą spotkałem przypadkiem w małym szkockim miasteczku.

„...Czy myśli pan, że od razu urodził się bohaterem? Bogać tam!... Był krzykliwym żarłocznym bękartem, i kiedy się przyssał do piersi matki, to szczeniaka po prostu oderwać od niej nie można było. Ssał, i ssał, i ssał — i gdyby mógł to nigdy nie przestałby spać. Wie pan, jaka matka w sam raz byłaby dla niego? Ta z czterema pierściami, co to ją u nas przed czterdziestu laty w cyrku na odpuście pokazywali! O, ta może by mu dogodziła. A tak, to tylko swoją matkę zamęczał, życie z mlekiem z niej całe wysał. I dlatego inne dzieci jej pomarły — jedni ludzie mówią, że z braku pokarmu, a inni, że z zazdrości.

Czy myśli pan, że potem od razu się stał bohaterem? Nie było bardziej upartego i przewrotnego chłopca w całej okolicy! Ludzie mówili, że w nim żyje dusza kozła jego dziadka, którego kiedyś dziadek zatłukł na śmierć za to, że wyżarł dziurę w jego starych spodniach. Zabił swego kozła ze skąpstwa. A kozioł, mszcząc się, wszedł po śmierci w małego Toma. Z pewnością tak to i było, bo mały Tom z głosu bardzo przypominał starego kozła swego dziadka. Znałam ich wszystkich troje, więc wiem, co mówię. I zresztą gdyby było inaczej, czy ludzie przezwali by go Tomem-Kozłem?...

No, a potem chłopak zaczął pracować u bednarza — i trzeba prawdę powiedzieć, że majster go bardzo chwalił. Kiedy trzeba było zabrać się do tych wielkich dębowych beczek, wie pan, co to w nich trzyma się nasze whisky, bednarz nie bez niego nie robił. Bo trzeba panu wiedzieć, że chociaż chłopak rękę miał dużą, jak łopata — to była przy tym w dotknięciu lekka i zręczna, jakby to była rączka królowej Mary — tej, co to już dzisiaj jest babką.

Potem to poszedł na wojnę. Mówią, że są tacy, co bardzo ją sobie, tę wojnę, chwala. No, bo co? — mówią. Zarcie bezpłatne, whisky pij ile chcesz! Ale to mówią ci, co zdaje się nigdy na wojnę nie chodzą. Wiadomo, przyjemnie jest sobie dobrze podjechać — a wypić jeszcze lepiej. Ale ja myślę, że z wojny zadowoleni są ci tylko, co siedzą sobie na tyłach w swoich pałacach i każdym dniem wojny się bogacą.

Pyta się pan, co z tym bohaterstwem? Jakże, przecież za to mu pomnik wystawili. Mówią, że kiedyś tam nasi odstepowali, a tamci za nimi gnali. Nasi przeszli przez most, i już chcieli go wysadzić, a tu Tom powiada: „Zaczekajcie. Nie pozwalam”. — „Jakże ty, taki owaki, możesz nie pozwolić?” — mówią mu. I co pan sobie myśli? Tom powiada, że zostanie i wysadzi most, kiedy już wojsko tamtych będzie na moście. „A czy ty wiesz, chłopie, że z ciebie wtedy tylko drobne kawałki zostaną?” — pytają go. No, i został tam Tom, i wysadził ten most. I przedko potem wojna się skończyła.

Z naszego Toma nawet guzika nie zostało, ale za to o niczym innym oprócz

niego się nie mówiło. Wszystkie dzieci, które urodziły się w tym roku u nas ochrzczono imieniem Toma. Największy majątek robili hotelarze: gości się zjechało!... Bednarz też zrobił majątek; za obejrzenie dębowej beczki do whisky, którą Tom zbił przed pójściem na wojnę, brał po szylingu od osoby, małe dzieci połowę. Całe miasteczko wiedziało zresztą, że Tom do tej beczki nawet palcem się nie dotknął, ale nikt nic nie gadał, bo gadanie mogłoby cały interes zepsuć. Pyta się pan, dlaczego tyle ludzi się zjechało? No, przecie powiedziałam, że mu nasza rada miejska postanowiła pomnik postawić! Tak, panie. Prawdziwy pomnik na podwyższeniu, i z napisem, żeby każdy wiedział, że to właśnie o Toma Kozła chodzi.

Tylko z matką Toma było coś nie w porządku.

Dlaczego, pyta pan? No, nie w porządku i kwita. No, bo powiedz pan sam, co by pan zrobił, gdyby pan był matką, której synowi pomnik stawiają? Nie wiedział by pan, czy na nogach chodzić, czy na głowie! Miasto by panu dawało jedną pensję, król dawałby drugą, służąca by za pana wszystko robiła w domu, chodziliby pan sobie co wieczór na punche do sąsiadek i opowiadał by pan, jak to chłopak się panu od piersi kiedyś odcepić nie chciał, i razem z pańskim mlekiem to bohaterstwo z pana wysał. A do poduszki czytałby pan sobie Biblię, żeby prędzej usnąć.

A ona? A matka Toma? Nie pytaj pan lepiej!... Miasto dało jej domek parterowy z ogródkiem, czy nie dało? Dało!... Umeblowano jej ten domek? Umeblowano! Sama widziałam. Jej ssać kowi, co to potrafił ją tylko ssać i ssać, i ssać — a potem koźlim głosem beczeć, jak się rozłościł — pomnik postawiono!... Postawiono. A ona — wie pan co? Plakała. Nic więcej, tylko cały boży dzień plakała. Zamiast spacerować po mieście, i uśmiechać się do wszystkich, i dobre słowo każdemu podarować, a szczególnie tym gościom, co to za oglądanie jej Toma szylingi płacił — ona zamykała się u siebie i plakała. Wciąż plakała.

A chce pan wiedzieć, co w tym wszystkim było najgorsze? Że w pewnej chwili przestała płakać. Zaraz panu powiem, jak i kiedy się to stało.

No, więc Tomowi-Kozłowi postanowiło miasto nasze postawić pomnik. Posłali nasi radcy fotografie aż do samego Londynu — pomyśl pan, do Londynu fotografie Toma-Kozła!... A obstalunek dostał wielki artysta od robienia pomników, o którym mówili, że jest taki sławny i bogaty że go nawet artystą już nikt nie śmie nazywać, i że on sam bardzo się obraża, kiedy go artystą nazywają.

Jeśli pan chce wiedzieć, co się działo w naszym miasteczku tego dnia, kiedy miało odsłonić pomnik, to niech pan sobie dobrze wyobrazi stworzenie świata, albo potop: to była taka sama pompa! Orkiestra grała tak pięknie, że aż jedno małżeństwo, które stało tuż przy puzonie, ogłuchło, i żona jeszcze do dziś dnia nie dosłyszy; w każdym razie, jak chcę od niej dostać coś na whisky, to mi zawsze pokazuje na ucho, że nie słyszy nic a nic. Burmistrz powiedział taką wzruszającą mowę, że aż w końcu sam się rozplakał, i nic nie można było zrozumieć z tego, co mówi. Tylko on jeden siebie rozumiał i szlochał na cały głos. A kiedy zaczęto ściągać prześcieradło z pomnika — niby z posągu Toma-Kozła!... Wtedy już tak beczałam, że przez łzy nic nie widziałam. Tylko tej grubej aptekarzowej wyjęłam chustkę z otwartej torby, żeby łzy oberzeć — i widać Pan Bóg mnie za liłościwe serce wynagrodził, bo w chustce znalazłam potem trzy funtowe papierki.

Ale wie pan — w tym całym tłumie był jeden człowiek, który nie miał nawet łezki w oczach! I wie pan, kim był ten człowiek?... To była właśnie matka Toma. Tak — matka posągu!

Bardzo wielu obywateli zwróciło na to uwagę, a pani burmistrzowa była nawet po prostu burzona. Jak niby może matka Toma-Kozła nie płakać przy odsłonięciu posągu swego rodzzonego syna, kiedy płacze jej mąż, burmistrz, i mnóstwo ludzi, nawet londyńczyków!

I niech pan sobie wyobrazi — matka nie plakała. A wie pan dlaczego?... Sama to potem opowiadała. Mówiła, że kiedy zobaczyła swojego Toma w żołnierskim mundurze, z ręką podniesioną do góry — od razu zrozumiała, że wszystko to pomyłka, że jej Tom żyje!... Mówiła ciągle potem i mnie, i wszystkim, czy kto chciał



słuchać czy nie chciał: „To pomyłka. To zwyczajna pomyłka. Już wiele było takich pomyłek podczas wojny. Tom żyje. Czy widział kto, jak umarł? Nikt! Powiadam wam: mój Tom żyje!”

Jak się panu to wariatwo podoba?... Mówili jej ludzie, że go rozerwało na drobne kawałki — że gdyby go nie rozerwało, to nie stałby się bohaterem. Mówili jej, że powinna być zadowolona, bo gdyby było inaczej, nie postawiono by mu pomnika, i miasto nie zarobiłoby ani grosza, i ona nie dostałaby od miasta swego parterowego domku z ogródkiem. A ona powtarzała wciąż swoje: „To pomyłka. Tom żyje!”

Od tego czasu mogłeś ją pan zobaczyć, jak co dzień czekała na powrót swego małego, siedząc przy oknie swojego domku z wielkich dębowych bierwion, krytego czerwona dachówka. Ona siedziała przy oknie — a na okiennicach siedziały gołębie, i czekały razem z nią — bo trzeba panu wiedzieć, że Tom-Kozioł był wielkim gołębiarzem i nie było gołębia w mieście, który by go nie znał!... I żeby tylko to! Ale także na stole w jadalni stało nakrycie dla syna, i obiad był zawsze przygotowany na dwie osoby, żeby Tom-Kozioł ani chwili nie czekał, kiedy przyjdzie do domu, bo był z natury bardzo gwałtowny i czekać nie lubił. Bardzo byłam z tego zadowolona, że tak kochała swego syna i troszczyła się o niego, bo ten obiad co dzień ją za niego zjadałam. Nawet się rozżyłam, bo takich wielkich porcji rozbefu nie zdarzało mi się dotąd jeść nawet raz na rok. A chipsy!... Nie widziałam kobiety, która by lepiej je robiła od matki Toma. Ona wkładała w nie całe swoje serce.

Myśl pan może, że dbała tylko o jego żołądek?... Ale!... Co wieczór słała łóżko — i żeby pan widział tę pościel! Trochę nakrochmalona, żeby nie była za mięka — a przy tym bielutka i krzynie pachnąca miętą, czy rumiankiem — bo to jest zapach czystości. Z początku nie pozwoliła mi nawet zbliżyć się do łóżka Toma, — ale potem jak przespaliśmy raz, bo była duża ulewa, to już zaczęłam spać codziennie. W życiu nigdy tak nie spałam, jak przez tych parę miesięcy, na swoje wyrodne dzieci klnę się panu, na swoje wyrodne dzieci, które mieszkają w książęcych pałacach i zamkach, a starą matkę, która je na świat wydała, na żebraczkę wywierwali!

I dębowy fotel, głęboki, wyścielany, też był już naszykowany przed kominkiem, a przy nim ciepłe pantofle i jakaś książka, którą Tom czytał kilkanaście lat przedtem i nigdy nie mógł skończyć. Zawsze czytając, ryczał ze śmiechu, ale w środku zasypiał — i potem znów ją zaczynał od początku. Matka Toma mi mówiła, że Tom-Kozioł uważał ją za najsmieszniejszą książkę na świecie. Ten pisarz nazywał się tak samo, jak nasz właściciel kielbasiarni: Milton — a książka nazywała się „Raj utracony”.

I co pan powie, ja sama też w końcu zaczęłam być pewna, że jej Tom wróci. Wiedziałam, że z niego nie zostało nic, — że nikt nie pozbiierałby ani nie doliczyłby się tych kawałków, na które się składał jej syn, potem, kiedy go rozszarpało, — a jednak i ja wierzyłam, że on przyjdzie, i zasiądzie do stołu, i położy się potem w swym łóżku. Nawet już przestałam żałować rozbefu z chipsami, i miejsca w dębowym łóżku — choć bogiem a prawdą, takich chipsów, jak matka Toma, ani wcze-



BOHATERA



śniej nie jadłam, ani później już nigdy nie miałam jeść!

Ale oczekiwanie przedłużało się. Tom nie przychodził. Więc matka zaczęła chodzić pod pomnik Toma-Kozła, który stał pośrodku skweru w śródmieściu. Z początku chodziła co kilka dni, potem co parę, a potem nawet co dzień. A ja z nią. Matka Toma siadała u podnóża pomnika, na schodku, i patrzyła mu w twarz. A potem zaczęła do niego gadać, jak gdyby posąg mógł ją usłyszeć — takie wariactwo, co? Mówiła: „Syneczku, czy ci nie zimno tu nocami? Noce są chłodne”. Albo mówiła: „Syneczku, czy nie boli cię ręka od tego, że musisz ją trzymać zawsze podniesioną do góry?” I jeszcze mówiła: „Tomek, pamiętasz, jak kozioł zjadł spodnie dziadka?... I śmiała się przy tym cicho. I wie pan co? W takich chwilach przysięgałabym, że jej Tom także cicho się śmieje. A matka wracała szczęśliwa do domu, i mówiła mi po drodze: „Dzisiaj był dobry dzień. Tomek był zadowolony, że go odwiedziłam. Słyszałaś, jak śmiał się z historii o koźle dziadka?”

Nie wiadomo, jak długo by to trwało, ale matka się rozchorowała. Coś tam zaczęło jej gnąć w środku — wątroba czy co innego — dość, że się rozchorowała. Doktorzy przychodzili, a jakże, przewracali ją na wszystkie strony, gnięli i miesili w łóżku, jak ciasto w dzieży — i wychodzili ze słowami: „Będzie dobrze, matko”. Ze wszystkich kieszeni wypadały im buteleczki, w których zakorkowali życie. Kroplami wlewali to życie w matkę Toma, — życie każdego było w innym kolorze — każdy odmierzał swoją ilość kropli tego życia — jedne były srebrne, jak żywica sosny — drugie złote i przezroczyste, jak miód lipcowy — a inne znów były kleiste i czarne, jak smoła. Ale matka stękała coraz ciszej, i widziałam dobrze, że jeśliby nawet doktorzy przynieśli butle, wielką jak jej parterowy domek, i wleli w matkę całą tę butle swego życia w płynię, to jej to już nie pomoże. Za oknem było słychać trzopot skrzydeł. Matka Toma cichła i słuchała tego trzopotu. Uspokajałam ją, że to gołębie. Ale obie wiedziałyśmy, że to nie skrzydła gołębi trzepocą — tylko skrzydła anioła śmierci. Pan jest z wielkiego miasta, pan już może nie wierzy nawet w to, że anioł śmierci przylatuje do ludzi, kiedy przyszedł ich czas — ale my z małych miasteczek i ze wsi znamy te sprawy lepiej.

Co będę panu mówiła? Przyzwyczaiłam się do niej. Już nawet o jej rozbiegach zapomniałam. I o chipsach, chociaż mówię panu, że takich, jak matka Toma robiła, nigdy w życiu nie będzie pan jadł. I nawet do łóżka się nie kładłam, tylko całą noc siedziałam przy niej, i patrzyłam, jak jej twarz żółknie. Nic, tylko coś w niej w środku zgniło. A trzopot skrzydeł za oknem słychać było coraz głośniejsze.

Jednej nocy otworzyła oczy i powiedziała mi nagle: „Ronny, idź do niego, przyprowadź mi go”. Popatrzałam na nią, myślałam sobie: ma gorączkę, bredzi. A ona popatrzała na mnie jeszcze raz oczami, które były zupełnie już jak nie z tego świata, i powiedziała mi: „Nie, Ronny, ja nie mam gorączki! Ja chcę, żebyś mi go zaraz przyprowadziła! Powiedz mu, że on musi tej nocy przysiąc, bo ja inaczej umrę. Idź, Ronny”. Bo zapomniałam panu powiedzieć, że na chrzcie świętym dostałam takie ładne imię: Ronny. Dawniej miałam wiele ładnych rzeczy — oho, nasi chłop-

cy mogliby panu wiele o tym powiedzieć! Dzisiaj już ich nie mam, ale imię pozostało.

No, więc co miałam robić? Wstałam i poszłam do jej syna, choć to już było do brze po północy.

Było mi gorzko w duszy, i szłam, jak pijana, chociaż tego dnia ani kropli trunku w gębie nie miałam. Wreszcie zasłzłam. Jej syn stał sobie, jak zawsze, z podniesioną ręką, na swoim postumencie — i miał taką głupią i nadętą minę, jakiej nigdy jeszcze u niego nie widziałam. Tak idiotycznie wyglądał w świetle księżycy, że chciało go się kopnąć. Widać było, że jest strasznie dumny z siebie. Popatrzałam na niego, przypomniałam sobie tę biedną starą, która do tego tępaka tęskniła dniami i nocami, i oczy sobie zupełnie za nim wyprzedała, i za nim życia nie widziała — i wzięła mnie straszna złość. „Ty bydlaku! — krzyknęłam. — Doczyż już tych sztuk z podniesioną ręką! Czy ty nie wiesz, że twoja matka umiera w tej chwili?!...”

Rzecz jasna, ani drgnął. Trzymał dalej rękę zadartą do góry, a na twarzy widać było głupią dumę, że taki z niego bohater. Wtedy zupełnie straciłam rozum i widać, i zaczęłam walić w jego granitowy cokół pięściami, krzyczęc: „Rozumiesz?! Umiera ci matka, matka ci umiera!”

I co pan powie, czy mi się tak zwidziało tylko, bo mi oczy zasły mgłą od wściekłości, czy też jakaś chmurka przeszła przez księżyc w tej chwili i pomieściła księżycowe światło — ale wydało mi się, że przez jego głupią gębę przeszedł skurecz, tak, skurecz bólu. Przyjrzałam się uważnie: w oczach coś błyszczało, jakby kropki deszczu. Ale przecież deszczu nie było. Miałyż to być...? Ale przecież posagi nie płaczą!... Zrobiło mi się głupio. Jeśli mam panu powiedzieć całą prawdę, to nawet serce mi zaczęło mocniej bić ze strachu. Przecież to była noc, pusto, księżyc — i tylko ja i on, zresztą wokół nikogo więcej.

Jest pan ciekaw, co nastąpiło potem?... Nie zdążyłam się jeszcze dobrze przyrzec, czy to kropki deszczu, czy nie, kiedy nagle widzę, Tom-Kozioł zaczyna opuszczać rękę. Przestraszyłam się tak, jak nigdy w życiu jeszcze! Nie mów mi pan, że pan by się nie przestraszył. Noc, pusto, księżyc — i brązowy posąg, który opuszcza podniesione ramie!... Nie przychodziło mu to z łatwością, widać było, że się strasznie męczy — ale wreszcie je opuścił. A po tym ruszył nogą, z początku niepewnie — a po tym już całkiem do rzeczy, zgiął nogi w kolanach i wyprostował z powrotem, i nagle — jak skoczyć z cokołu na ziemię!... A mnie, odwrotnie, nogi wrosły w przerażenia w ziemię — i żeby ktoś mi przwrzekł w tej chwili nie wiem co — no, choćby to, że mi zwróci moje osiemnaście lat i moje zęby — nie potrafiłabym ruszyć się z miejsca.

Ale kiedy się odezwał, jakoś mi to przeszło.

„Gdzie mieszka moja matka?” — zapytała.

Miał głuchy głos, który robił takie wrażenie, jakby wychodził z pustej beczki. Od razu zrozumiałam, że jest wewnątrz pusty.

„Niedaleko stał, w parterowym domku” — odpowiedziałam.

Jeśli mam prawdę powiedzieć, to głos mi drżał i skakał tak, jak gdyby mnie ktoś podczas mówienia trząsł, trzymając za kark.

Poszliśmy. Jego kroki głucho dzwoniły na pustej ulicy. Nie spotkaliśmy nikogo, prócz dwojga młodych, chłopca i dziewczyny. Mieli niespokojne ręce, które jak gdyby ciągle dziwiły się i sprawdzały, czemu ciała ich są inaczej zbudowane. Kiedy przechodziłam koło nich, usłyszałam jak dziewczyna rzekła:

„Jaki piękny i wysoki jest ten żołnierz. Węglada zupełnie, jak posąg”.

Nie mogłam jej wytłumaczyć że to jest posąg, bo i tak by mi nie uwierzyła. Tym bardziej, że Tom-Kozioł szedł ogromnymi krokami i musiałam prawie biec za nim, żeby się odeń nie odłączyć i móc wskazywać mu drogę.

Wreszcie przyszliśmy do parterowego domku. Tom szedł przedko i szybko swym ciężkim krokiem. Miało się wrażenie, że jego brązowe stopy zostawiają dziury w podłodze. Otworzyłam przed nim drzwi sypialni. Matka Toma cicho stękała przez sen czy omdlenie, nie wiem. Światło małej lampki nocnej padało na jej twarz o dziwnie zaostzonych rysach i na siwe włosy. Kiedy drzwi skrzyknęły, otworzyła oczy.

„To ja, matko” — rzekł posąg swym głuchym głosem.

„Syneczku!” — zawołała matka, i rozplakała się.

Potem podniosła się na fokciu i zamknęła go w ramionach tak mocno i gwałtownie, jakby nie była zupełnie chora. Długo milczeli. Słychać było tylko jej cichy płacz. Wydawało mi się, że serce pęknie mi z bólu.

„Ja wiedziałam, że przyjdiesz, Tomku. Wiedziałam, że przyjdiesz. Wiedziałam, że nie dasz mi umrzeć samej” — rzekła matka.

Jej twarz stała się zupełnie inna, odmłodzona i szczęśliwa. Jej głos był zupełnie innym głosem, młodym i szczęśliwym. Nie chciałam wierzyć swoim oczom.

Zaczęła wypytywać syna o wszystko, co przeżył, a on opowiadał jej rozmaite rzeczy, smutne i wesołe. Mówił to wszystko swoim zwykłym głuchym głosem, ale na twarzy jego nie było ani cienia tamtej głupiej dumy, którą u niego zauważyłam tej nocy i która tak mnie rozwścieczyła. Odwrotnie, miał prawie zupełnie ludzką twarz! O jednym tylko nie opowiadał: jak go poszarpało w kawałki. Mówili, przerywali sobie, śmieli się i znów mówili. Żeby mi nie wiedziała, że nie piłam tej nocy ani kropli niczego mocniejszego, myślałabym, że jestem pijana wszok.

„Jaki zimny jesteś, syneczku!” — mówiła matka i tuliła brązowe ręce syna w swoich gorących dłoniach. — Widać, ciężko ci tam. Marzniesz na służbie. Ale ja cię ogrzeję!”

Pięściła jego ręce i twarz, aż wydało mi się, że zaczynają być podobne do naszych, do ludzkich. Nagle zobaczyłam, że nie wypuszczając jego rąk, ciężko pada na poduszki, i usłyszałam głośny trzopot skrzydeł za oknem.

„Umieram, synku!” — powiedziała z trudem, cicho.

Posąg zawołał:

„Matko — nie!”

Jego głos był pełen rozpacz i nie był już głuchy. Tak, panie, jego głos był zupełnie, jak głos każdego z nas, głos nieszczęśliwego człowieka.

Ale matka ścisła jego ręce coraz mocniej i coraz mocniej — i szeptała:

„To nic... Jestem szczęśliwa, mój maleńki. Jestem szczęśliwa, że doczekałam się twego powrotu...”

Tak szeptała, a ja czułam, że serce rozrywa mi się w kawały, i lzy płynęły mi po twarzy. Nie dlatego, że dawała mi rozbeł i chipsy — mnie, starej, żebrzącej pijaczce — ją kochałam! Niech pan nie myśli tak. To było coś innego — sama nie wiem, co.

Przez jej twarz przeleciał cień. Trzopot skrzydeł był taki głośny, jak wtedy kiedy dwa gołębie, nie mogąc powstrzymać swej namiętności, gwałtownie biją skrzydłami. Po tym nagle ucichł. Twarz jej zastygła, a na niej zastygł ukryty w zmarszczkach uśmiech szczęścia.

Popatrzałam na posąg jej syna. Tom-Kozioł siedział nieruchomo przy łóżku matki, i widziałam po jego twarzy, że i jemu serce opływa krwią. Wiedziałam, że jest pusty od wewnątrz, a więc nie może mieć serca — a jednak. Powiedziałam panu, takiej twarzy nie mógł mieć ktoś, komu serce nie rozdziera się na części z bólu.

Bardzo długo siedzieliśmy w milczeniu. Wreszcie, promień słońca przez szparę w okiennicy padł na jego twarz z brązu. Wstał w popłochu. I ja również się przeraziłam. Co to będzie, jeśli ludzie spo-

strzegą, że Toma nie ma na zwykłym miejscu?! Przecież mogą mnie jeszcze oskarżyć o kradzież posagu!

Wysiliśmy pospiesznie, ale ledwo wyszliśmy, przekonaliśmy się, że jest już za późno! Na ulicach kręcili się już ludzie, i nic innego nie słychać było, jak tylko rozmowy o zniknięciu posagu Toma-Kozła. Jedni mówili, że posąg został skradziony, jako wielkie dzieło sztuki, — inni, że to sprawa sekty czcicieli Hitlera, o której właśnie pisały londyńskie gazety. Z tych wszystkich rozmów dowiedzieliśmy się wreszcie z Tomem, który szedł, zasłoniwszy twarz wełnianym szalikiem, że burmistrz postanowił wmurować w cokół marmurową tablicę ze złotymi zgłoskami o Tomie — i że tym razem przy tablicy będzie czuwała dniem i nocą honorowa warta, w postaci polismena i stróża nocnego, którzy będą się stale naprzemian zmieniali.

Wtedy Tom zrozumiał, że nigdy już nie będzie mógł powrócić na swoje dawne miejsce na cokole, — i wyszedł z miasta.

Oto historia o posagu bohatera, opowiedziana mi w wielkiej tajemnicy przez starą pijaną kobietę w małym szkockim miasteczku. Wysłuchałam jej z dużym zaciekawieniem, ale szczerze mówiąc, wydała mi się bardzo nieprawdopodobna. A nawet, żeby to ściślej wyrazić, wydała mi się ona wówczas całą zabawną błądą, jedną z tych cudacznych legend, jakie tworzy demon butelki.

Przed wyjazdem jednak znalazłem się przypadkowo w śródmieściu. Ujrzałem tam piedestał bez posagu, z przybitą doń marmurową tablicą, na której złotymi zgłoskami było opisane bohaterstwo Toma O'Connor'a, „ku wiecznej pamięci rodaków”. Mówiłem również ze stojącym na straży pomnika polismenem, i z pewnym zdziwieniem dowiedziałem się, że pomnik Toma-Kozła został istotnie przed paru laty skradziony.

Opuściłem wówczas to małe miasteczko, nie bardzo wiedząc, co mam myśleć o jej całej historii.

Dzisiaj już wiem. Chodzi o to, że od tego czasu kilkakrotnie zdarzało mi się Toma-Kozła spotkać. Jest to wysoki, postawny mężczyzna o twarzy, czyniącej wrażenie wykutej z brązu, — czy też może naprawdę z brązu, — tego nie udało mi się sprawdzić. Mówił mi o śmierci swej matki prawie tymi samymi słowami, co owa stara kobieta w jego rodzinnym miasteczku. Kiedy mówił o tym, w oczach drżały mu lzy. Wtedy, kiedy go spotkałem, miał bardzo trudne życie: był bezrobotnym. Ale nie skarżył się, przyrzeczono mu wkrótce pracę w kopalni węgla.

„Jest to dość ciężka praca — rzekł — ale nie wyobraża sobie pan nawet, jak marzę o tym, żeby ją dostać. I w każdym razie lepsze to, niż wystawianie dniem i nocą na piedestale z podniesioną ręką i wysłuchiwanie w każdą rocznicę Zwycięstwa mowy burmistrza, że czas już najwyższy na nową wojnę i nowe zwycięstwo”.

Uśmiechnął się z łagodnym smutkiem. „Gdyby pan znał naszego burmistrza, nie dziwił by się pan temu — dorzucił z gorczyką. — Ma on w naszym miasteczku małą fabryczkę zamków do karabinów, i wszelkie mowy o pokoju doprowadzają go do wściekłości. Gdyby to od niego zależało, to z pewnością wykreśliłby nawet samo słowo „pokój” ze wszystkich słowników”.

Anatol Stern



ALEKSANDER HERTZ
(New York)

AMERYKAŃSKIE RUINY

Rozważania powakacyjne

D KILKU LAT swe krótkie wakacje spędzam w miejscowości, noszącej nazwę Woodstock. Piękna to bardzo miejscowość. Położona w szerokiej dolinie i na południowych zboczach gór Catskill, stała się ona od kilku dziesięcioleci ważnym ośrodkiem życia artystycznego tej części Stanów Zjednoczonych. Stale tu mieszkają i pracują zastępy malarzy, rzeźbiarzy i pisarzy, którzy w Catskillach próbowali znaleźć oazę swobodnego życia twórczego. Woodstock to coś w rodzaju amerykańskiego Kazimierza, tylko że — jak wszystko w Stanach Zjednoczonych — na znacznie większą skalę. Jest tu kilka galerii obrazów, jest muzeum sztuki miejscowej, jest teatr i sala koncertowa. W Woodstocku mieszka Zygmunt Menkes, mieszkają Archipenko, świetny rzeźbiarz Faggi i dziesiątki czy nawet setki innych artystów większego lub mniejszego kalibru.

Ja jednak nie samo miasteczko obrałem sobie za miejsce wakacyjnego wypoczynku. Zatrzymuję się w pobliżu Woodstocku, w samych górach Catskill. Tam na wysokiej przełęczy, z której rozciąga się wspaniały widok na dolinę i sztuczne jezioro Ashokan, stoi stary zajazd, godnie podtrzymujący tradycje owych anglosaskich gospód (inns), o których tyle pisywał Dickens a które i w Ameryce miały swoje odpowiedniki. Stary to zajazd i czcigodny. Z księgi gości wynika, że w roku 1867 bawił tu triumfator Wojny Domowej generał Ulysses Grant, wkrótce po tym obdarzony godnością Prezydenta Unii. Księga mówi, że był tu w towarzystwie orszaku, złożonego z czterech osób i sześciu koni. W Stanach Zjednoczonych były takie zamierzchłe czasy, gdy nie jeździło się samochodami.

Tuż koło zajazdu zaczyna się droga, prowadząca na szczyt pobliskiej góry Overlook. Droga to stroma, bardzo kamienista, bardzo niewygodna i męcząca. Trudno się domyślić, że przed dwudziestu laty była ona porządną szosą, po której z łatwością jeździły auta. Ale drogą tą — choć tak uciążliwą — idzie się z przyjemnością. Prowadzi ona przez wspaniały las, pełen niezliczonych odmian drzew, klonów, buków, brzoź, jodeł, drzew hickorowych i sassafrasowych. Późną wiosną jest tu istny bukiet: kwitną rododendrony, dzikie azalie, górskie wawrzyny i dogwood — to bardzo amerykańskie drzewo, którego polskiej nazwy nie znam. Słowem — droga warta jest wysiłku.

O wysiłku tym szybko zapomnimy, gdy po przeszło godzinnym wspinaniu się znajdziemy się na szczycie Overlooku. Jest to szczyt płaski, obnażony, miejscami skalisty (skalki te mają opinie siedliska jadowitych grzechotników, których zresztą nigdzie w Ameryce nie brak). Widok stąd jest wręcz fantastyczny. Za sobą mamy całe pasmo gór Catskill, przed sobą rozległe przestrzenie doliny Hudsonu i krain przyległych. Pod nogami, gdzieś w dole widać jezioro Ashokan, za nim wspaniałą wstęgę rzeki Hudson, na horyzoncie ciągną się wzgórza Nowej Anglii — przy szczególnie sprzyjającej pogodzie podobno można zobaczyć Zielone Góry Vermontu. Podobno — bo, choć kilka razy byłem na Overlooku, nie mógłbym przysiąc, że dalekie sine pasma łańcuchów górskich są właśnie górami Zielonymi.

Ale i na samym szczycie Overlooku jest coś do zobaczenia. Tym czymś są budynki, ściślej — ruiny budynków. Jest tu pięć budynków, jeden — szczególnie potężny, wszystkie w stanie rozpaczliwego zniszczenia. Nie są to ruiny jakiegoś zamku, są to amerykańskie ruiny, smutne pozostałości po wspaniałym hotelu, który stał tu niegdyś.

Na jednym z tych domów jest data jego wybudowania. Rok 1928. Ostatni rok „prosperity”. W rok później przyszedł Wielki Kryzys, który nie tylko ten hotel doprowadził do ruiny.

Jest coś wysoce patetycznego w tych ruinach opuszczonego hotelu. Kiedyś był on pełen gwaru i życia. W roku zeszłym, zajmawszy do jednego z tych pawilonów, mogliśmy się przekonać, że ma on mieszkańca. Był nim bardzo urodziwy jeżozwierz (porcupine), który tu obrał sobie locum. Popatrzał na nas z pogardą i, odwróciwszy się z godnością, powolnym krokiem zapuścił się w głąb piwnic hotelowych.

Historia tego hotelu jest bardzo prosta i dla Ameryki bardzo pospolita. Po pierwszej wojnie światowej ktoś wpadł na pomysł zbudowania na szczycie Overlooku wielkiego hotelu. Położenie było idealne, hotel mógł liczyć na powodzenie. Musiało to kosztować dużo pieniędzy, wymagało zbudowania drogi, ale powinno się było opłacić.

Hotel zbudowano. Jak pomysłowość amerykańska rozwiązała problem sprowadzenia na szczyt materiału budowlanego — nie wiem. Również nie wiem, jak wciągnięto sześć potężnych marmurowych kolumn korynckich, które wciąż jeszcze zdobią portal głównego gmachu. Ale jakoś to rozwiązano. Hotel miał powodzenie.

Nie było ono jednak długotrwałe. Pobyt tu był rzeczą bardzo kosztowną. Prowadzenie przedsiębiorstwa wymagało ciągłych wkładów. Aż przyszedł rok 1929. Kierownictwo hotelu uznało, że impreza się nie powiodła. Próbowano hotel sprzedać. Nabywców nie było. Więc powzięto decyzję prostą: hotel porzucono i zdano na łaskę Boga.

A raczej na łaskę turystów, którzy w latach zarówno kryzysu jak i prosperity pili się na szczyt Overlooku, by oglądać Catskill, dolinę Hudsonu, wzgórze nowej Anglii i — porzucony hotel. Turyści ci w ciągu lat kilkunastu doprowadzili budynki do stanu fantastycznego zniszczenia.

Za każdym razem ilekroć jestem na Overlooku, mogę stwierdzić postępy tego zniszczenia. I jego tempo. Za każdym razem mam nowe dowody tej furii, z jaką wydeczkowiec zabawiali się w demolowanie sprzętów, urządzeń, murów, w wybijanie szyb i podpalanie części drewnianych. W roku zeszłym w jednym z budynków zastałem jeszcze pianino — elektrołę, stosunkowo całą. — W tym roku była ona wywleczona na zewnątrz i kompletnie rozbita. Dla wyciągnięcia tak ciężkiej sztuki potrzebny był skoordynowany wysiłek kilku mocnych ludzi.

Porzucając hotel i zdając go na łaskę Opatrzności, właściciele zostawili go w takim stanie, w jakim był w latach swego rozkwitu. Zostały się meble, naczynia kuchenne, została się pościel i bielizna stołowa. Było więc co niszczyć. Przemysłowość, z jaką to uczyniono, przekracza wyobraźnię obserwatora, któremu nie obce są akty wandalizmu w różnych krajach naszego globu. — W tym niszczeniu był jakiś ponury humor, jakaś chęć wyzycia się, wymagająca ogromnych wysiłków, jakaś zabawa, trudna do zrozumienia i nawet opisania. W tym roku znalazłem świeże szczałki wielkiej kanapy, wywlezionej z któregoś z budynków i pracownicy zataszczonyj po stronie ścieżce dobre pół mil (blisko kilometr) od hotelu.

Oczywiście wandalizm jest cechą ogólnoludzką. Niszcza, burza, rujnują nie tylko Amerykanie. Ale wszędzie na świecie niszczenie — chyba, że jest dziełem małego dziecka — jest następstwem czy towarzyszem grabieży. Tylko małe dzieci niszczą dla przyjemności niszczenia. Tymczasem hotel na Overlooku nie był zniszczony przez małe dzieci. I nie był też obrabiony. Jego meble, urządzenia, części metalowe itd. nie były „szabrowane” czy „wyzwalane”. Nawet powierzchowne zapoznanie się z ruinami musi utwierdzić obserwatora w przekonaniu, że nikt tu nie fatygował się z zabieraniem rzeczy, które by w jakiejś mierze mogły być wykorzystane dla celów może nie zbyt legalnych ale racjonalnych. Nie. To było niszczenie dla niszczenia, niszczenie bezinteresowne, niszczenie dla zabawy. Była to jakaś fantastyczna dziecinna niedziela. Nie wchodziła tu w grę zemsta, ani żadne względy potrzeby gospodarczej, wyrosłe z biedy czy z żądzy posiadania rzeczy, uznanych za użyteczne lub przyjemne. Ci amerykańscy wandalizmi nie byli ani mścicielami, ani „szabrownikami”, byli po prostu niszczyicielami. I to sprawia, że, rozważając fakt powstania ruin na Overlooku, musimy szukać nieco innych wyjaśnień i innych kryteriów, niż gdybyśmy rozpatrywali fakty powstania wszelkich innych ruin w innych krajach świata. Ruiny na Overlooku są czymś bardzo swoistym, bardzo amerykańskim. I to nie tylko dlatego, że są ruinami hotelu, a nie zamku. Są one czymś bardzo amerykańskim ze względu na warunki i okoliczności, wśród których hotel ten stał się ruinami.

Zwłaszcza, że upadek świetnego hotelu na Overlooku nie jest wypadkiem odosobnionym. Takich ruin jest w Ameryce więcej. I wszędzie da się tu zauważyć pewien wspólny wzór, pewna wspólna metoda, nie mająca dla siebie analogii poza Stanami Zjednoczonymi. I dlatego owe ruiny na jednym ze szczytów pięknego łańcucha gór Catskill mogą nam coś powiedzieć o pewnych cechach życia amerykańskiego i amerykańskiej umysłowości.

Porzucając hotel, właściciele z góry skazywali go na los, jaki go spotkał. Jako Amerykanie z pewnością nie mieli co do tego złudzeń. Nie starali się jednak jakoś zabezpieczyć swój dobytek. Na wszystko po prostu machnęli ręką. Europejczyk uznałby to za nieprawdopodobną lekkomyślność i za karygodne marnotrawstwo. Amerykanin również uznaje to za marnotrawstwo. Tylko że się z nim godzi, ba — nawet je aprobuje. I to nie tylko w stosunku do tego hotelu.

W Stanach Zjednoczonych słyszy się nieraz, że marnotrawstwo (waste) jest jedną z najcharakterystyczniejszych amerykańskich cech narodowych. Nieraz mówi się o nim jako o jednej z głównych wad narodowych. I jest w tym dużo prawdy. Przebywającego w Stanach Zjednoczonych Europejczyka czy Azjatę zdumiewa i przeraża łatwość, z jaką Amerykanin marnotrawi wszystko, poczynając od chleba przy śniadaniu, a kończąc na lasach, kruszczach i innych bogactwach narodowych. Tradycja rzekomo niewyczerpanych zasobów Ameryki ciąży nad całym życiem tego kraju, wytworząc w nim rozrzutność, skłonność do ryzyka, brak dbałości o zabezpieczenie rzeczy istniejących. Amerykanin dla eksperymentu — a eksperymentowanie jest jego wielką pasją — zdoła się na wielkie ofiary materialne. Zwłaszcza gdy widzi w tym drodze do osiągnięcia sukcesu. Oszczędzanie nie jest jego cnotą narodową. Inaczej niż Francuzi, Amerykanie nie są narodem ciułaczy. Co innego, że są przebiegli, brutalni, nieraz pozbawieni skrupułów w osiągnięciu swego głównego celu — sukcesu.

Do przeciętnego Amerykanina nie przemówi fakt, że ruiny hotelu oznaczają stratę materialną dla kogoś. Ameryka jest bardzo bogata, Amerykę stać na takie straty. Myśl, że bogactwa Ameryki nie są niewyczerpane, dopiero teraz i to powoli zaczyna docierać do świadomości szerokiego ogółu Stanów Zjednoczonych.

To marnotrawstwo jest spotęgowane, gdy łączy się z pogardą dla rzeczy, uznanych za niepotrzebne. I tu mamy nowy aspekt ruin na pięknym Overlooku.

Amerykanin wyżyna się w budowaniu, w tworzeniu, w produkowaniu. Z pewną tylko dozą przesady można by powiedzieć, że bardziej go pasjonuje sam proces wytwarzania, niż jego wyniki. Te ostatnie są ważne głównie dla dwóch względów: po pierwsze — jako widomy, dający się wyrazić w liezbach, znak osiągniętego sukcesu, po drugie — jako punkt wyjściowy dla dalszego tworzenia: „Większe i lepsze” (bigger and better) jest hasłem Ameryki, jest podstawową częścią składową religii amerykańskiej. Jeżeli Amerykanin wybudował sześćdziesięciopiętrowy drapacz nieba, to zaraz myśli o osiemdziesięciopiętrowym, który by zdystansował tamten. A jeżeli w tym celu wypadnie zburzyć świeżo zbudowany sześćdziesięciopiętrowy kolos, Amerykanin nie zawaha się ani przez chwilę. — „Więcej i lepiej” — po osiemdziesięciu piętrach przyjdzie kolej na sto, po stu — na jeszcze więcej.

Stąd Amerykanin nie ma wielkich sentymentów dla rzeczy, które już zostały zdystansowane, które nie dadzą się podciągnąć pod kategorię „większych i lepszych”. Tak, jak nie ma ich dla Europy, która w jego oczach dawno już została zdystansowana przez Amerykę!

Nie ma tych sentymentów zupełnie, gdy

chodzi o rzeczy, które stały się bezużytecznymi dla celów dalszej produkcji, albo które stały się niepowodzeniem. Dla takich rzeczy Amerykanin czuje pogardę.

Hotel na Overlooku okazał się fiaskiem. Musiał być porzucony, bo zawoził pokładane w nim nadzieje. Okoliczni farmerzy bardzo krytycznie mówią dziś o przedsięwzięciu. Nie powiodło się. Jest symbolem braku szczęścia, czy braku zdolności przewidywania lub organizowania. Dziś jest bezużyteczne. Żaden farmer z okolic Wodstocku nie położy się na lodowię elektryczną z hotelu. Jest już za stara, zdystansowana, nie do wykorzystania. Nie jest „większa i lepsza”. Zasluguje na pogardę i zniszczenie.

Niewątpliwie istnieje dziś w Ameryce potężny pęd do pieczołowitego konserwowania budynków o znaczeniu historycznym. Ba — Rockefeller włożył miliony w odrestaurowanie osiemnastowiecznego miasteczka Williamsburg (w Virginii) i osiągnął coś w swoim rodzaju jedyne: autentyczne osiedle kolonialnej Ameryki, zachowujące wszelkie najdrobniejsze cechy tej epoki. — Odnajdowane są wszelkie budynki o jakimś takim znaczeniu historycznym (wystarczy, że kiedyś nocował tam Washington — przypomina się słynny wierszyk Boya o gruszcze, pod którą drzemał Kościuszko!) i restaurowane. Jest coś wzruszającego w tej pasji młodego narodu, szukającego swej legitymacji historycznej i dbałego o widome znaki swej tradycji narodowej. A zarazem są to widome znaki sukcesu tej wielkiej przygody, jaką było powstanie Ameryki. Tych rzeczy nikt nie niszczy, te zabytki są cenne, często przesadnie, często nie bez dozy mimowolnego komizmu. Są one bowiem częścią legendy narodowej, legendy wyjątkowego sukcesu.

Ale Amerykanin nie ma takich uczuć, gdy staje wobec budynków starych a nie należących do jego legendy narodowej. — W jego oczach są to poprostu budynki stare, nieużyteczne, nie podpadające pod kategorię „więcej i lepiej”. Żołnierzy amerykańskich mało wzruszały zabytki historyczne innych krajów, do których zapędziła ich wojna. Nie były z nimi związane wspomnienia o Washingtonie, Jeffersonie, Jacksonie czy Lincolnie. Były poprostu starymi i dziwacznymi ruderami, funkcjami swymi i wyglądem odbiegającymi od tych wzorów, które Amerykanin przyjmuje za właściwe. A w samej Ameryce normalny obywatel Unii widzi tylko irytującą śmieszność w takich budynkach jak hotel na Overlooku.

Nikt nie obchodzi się łagodnie z rzeczą, której nie szanuje, z rzeczą, która go równocześnie śmieszy i irytuje. Taką rzeczą się pogardza. Słowem — jest się „uprawnionym” do beceremonialnego obchodzenia się z porzuconym hotelem i jego zawartością. I nie ma też powodów, aby protestować przeciw aktom wandalizmu, aby szukać jakichś sposobów zabezpieczenia się przed nim. A jeżeli nawet się protestuje, to robi się to pro forma, niezbyt szczerze, niezbyt poważnie, głównie wobec obcych. — Po cichu uznaje się ten wandalizm jako coś nieuniknionego i — w dużym stopniu — usprawiedliwionego.

Wszystko, co dotąd było powiedziane, rzuca światło na okoliczności, wśród których odbywała się dewastacja i burzenie hotelu. Nie tłumaczy to nam jednak jeszcze, dlaczego miało to postać właśnie takiego wandalizmu. Są bowiem różne rodzaje wandalizmu. Ten, którego ofiarą padły budynki na Overlooku, zdumiewa nas swoją bezinteresownością, swoją pasją, zdumiewa nas i tym, że musiał być na swój sposób zorganizowany. Był to wandalizm zabawy.

Refleksje nad tym wandalizmem pozwalają nam zobaczyć jeszcze inne aspekty życia amerykańskiego. I to aspekty bardzo ważne.

Przed wszystkim — kto to są ci wandalizmi? — Odpowiedź znaleźć nie trudno: jest to przeważnie młodzież, najczęściej męska, są to jednak niekiedy i dorośli — z reguły mężczyźni. Wandalizm zabawowy, wandalizm bawiących się starych i młodych jest zagadnieniem, o którym w Stanach Zjednoczonych dużo się mówi i pisze. Albowiem zatrąca ono o bardzo doniosłe dziedziny amerykańskich metod i systemów wychowawczych.

To wychowanie stoi pod znakiem dwóch przeciwstawnych oddziaływań, stale się z sobą krzyżujących. Płyną one z dwóch kręgów kulturotwórczych, niezmiernie istotnych dla całej cywilizacji amerykańskiej. — Możemy je określić jako krąg kobiecy i krąg męski. Każdy z nich ma swoje określone funkcje i każdy z nich spełnia ściśle wyznaczone sobie zadania w obrębie zbiorowości narodowej.

PAWEŁ HERTZ
NOTATNIK OBSERWATORA
ESSAYE

Str. 256

zł. 500 —

WYD. WŁADYSŁAWA BAKA — ŁÓDŹ

Rola kobiety w życiu amerykańskim jest olbrzymia. Kobieta jest osobą centralną w życiu rodzinnym. Ma ona potężny udział w życiu społecznym, znacząco bardzo dużo w dziedzinach działalności literackiej i artystycznej. Przede wszystkim jednak dominuje ona w instytucjach wychowawczych. Z kobiet w dużym stopniu rekrutuje się armia pracowników społecznych (social workers) i kobiety opanowały szkołę amerykańską. W szkołach powszechnych i średnich (high schools) personel nauczycielski ma przytłaczającą większość żeńską. — Wśród profesorów szkół wyższych (colleges i uniwersytety) udział kobiet jest bardzo znaczny. Powieść amerykańska — zwłaszcza najbardziej popularna, reprezentująca poziom średni — jest przeważnie tworzona przez kobiety. Kobiety amerykańskie decydują o smaku, o zamówieniach artystycznych, ustalają normy życia towarzyskiego. Business należy do mężczyzn. Ich podstawową funkcją jest dostarczanie kobietom środków materialnych, potrzebnych dla wykonywania zadań kręgu kobiecego. Poza biznesem (a business jest czymś bardzo szerokim, obejmuje on również i politykę) mężczyzna znacząco bardzo mało. W domu, w życiu rodzinnym, w wychowaniu dzieci, w życiu kulturalnym jest on podporządkowany autorytetowi kobiety.

Amerykańska młodzież męska jest wychowywana przez kobiety. Niewątpliwie i w tym wychowywaniu dominującym czynnikiem jest osiągnięcie celu ogólnoamerykańskiego: kształtowanie człowieka, który osiągnie sukces. Ale człowiek ten ma być zarazem urzeczywistnieniem typu „dobrego chłopca” (good boy). Skromność, grzeszność, czystość fizyczna, przestrzeganie prawideł higieny, gładkość w obcowaniu — oto ważne składniki wzoru wychowawczego, płynącego od kobiet. Człowiek, obdarzony takimi cechami, ma osiągnąć sukces i stać się pożytecznym członkiem społeczności. W obrębie życia domowego młody Amerykanin stara się w jakiejś mierze odpowiedzieć wymaganiom tego wzoru.

Ale równocześnie ten młody Amerykanin jest pod wpływem oddziaływań wychowawczych kręgu męskiego. Są to oddziaływania zrodzone w businessie, oddziaływania tradycjami swymi sięgające ery „pogranicza”, oddziaływania diametralnie różne od wzorów i ideałów kręgu kobiecego. Inna rzecz, że w praktyce wzór wychowawczy kręgu kobiecego przyjmuje pewne treści oddziaływania męskiego. I odwrotnie, krąg męski uznaje autorytet wzoru kobiecego.

Krąg męski kładzie cały nacisk na samodzielność, na zaznaczenie swej energii, na bezwzględność w zdobywaniu powodzenia. Wzór „dobrego chłopca” nie jest ideałem tego kręgu. Oczywiście w domu trzeba być „dobrym chłopcem”, jest to oczywista i nieunikniona konieczność na rzecz wymagań kobiecych. Ale poza domem należy pokazać, że się jest mężczyzną.

Zarzutem, którego Amerykanin najbardziej się boi, jest, gdy się go nazwie mazgajem (sissy). Mazgajem jest ten, kto poza kręgiem domowym czy szkolnym idzie za wzorem, ustalonym przez kobiety. Nie wolno być mazgajem, gdy się przebywa w kręgu męskim — w businessie, w polityce, w męskiej zabawie. Tu trzeba być „facetem jak się należy” (to be a regular guy), to znaczy trzeba być równocześnie jowialnym i brutalnym (tough), dobrodusznym i przebiegłym, trzeba być hulaśliwym, nie dbającym o pozory zewnętrzne, słowem — nie takim, jak kobiety. Nic dziwnego, że pokier stał się narodową grą mężczyzn amerykańskich. Można się wielu rzeczy nauczyć, obserwując, jak Amerykanie grają w pokiera. Zwłaszcza dyplomaci europejscy, mający do czynienia z Amerykanami, z obserwacją takich wyciągnięli bardzo dla siebie pożyteczne wnioski.

Te sprzeczne oddziaływania, pochodzące z dwóch różnych kręgów, ciągle krzyżują się ze sobą, prowadząc do konfliktów i problemów wychowawczych. Chłopcy, najlepsi w domu, poza domem starają się dowiedzieć, że w żadnym celu nie są mazgajami. To jest jednym z zasadniczych dążeń uczestników „band” (gangs), od których roi się każda z dzielnic miast amerykańskich. Ale i dorośli, którzy dawno przestali należeć do band, starają się w różny sposób zaznaczyć swe wyzwolenie się od mazgajstwa. To jest jedna z przyczyn niesamowitego wyglądu amerykańskich zgromadzeń politycznych, w pierwszym rzędzie — konwencji partyjnych. Dorośli Amerykanin tęskni za latami swego chłopięctwa, za latami, gdy zdawał egzamin z braku mazgajstwa. I dlatego lubi zachowywać się jak „chłopiec”, zabawom swym i polityce (bliżka jest ona zabawie!) nadając charakter możliwie jak najbardziej infantylny.

Europejczyka zdumiewa i przeraża charakter tych zabaw. Zawstydzają ich prymitywny poziom. Są one jakąś wielką dziecinadą, w której dorośli ludzie wykazują swą męskość, zachowując się jak małe dzie-

ci. Konwencje są źródłem dochodu dla miast, w których się odbywają. Ale w kosza muszą wliczone i zniszczenia, spowodowane przez rozbawionych polityków.

Te dążenia do wykazania, że się nie jest mazgajem, że się jest pełnym energii i żywiołowości, mogłyby mieć swe pozytywne walory społeczne, gdyby życie amerykańskie wytworzyło odpowiednie dla nich ujęcie. Ale ujęcie tych jest stosunkowo mało i bardzo rzadko są one związane z jakimś pozytywnym ideałem społecznym czy społeczno-wychowawczym. Ani szkoła, ani kościół, ani partia polityczna, świetlica miejska (community center), YMCA czy cała masa innych instytucji zbiorowego współżycia ujęciami takimi nie są. Nie dają Amerykaninowi pola do pełnego wyżycia się, każą mu znów być „dobrym chłopcem”, nie zawierają jakiegos szerszego, konstruktywnego ideału, nie wskazują pola działania, na którym jedynka mogła by wyładować swe dążenie do samodzielności i szarmonizować je z dążeniami innych jednostek.

W wyniku młody i starszy Amerykanin, znajdując się fizycznie poza kręgiem, w którym obowiązują wzory przyzwoitości kobiecej, zaznacza swą męskość przez akty zabawowe, brutalne, destrukcyjne, często

graniczące z bezprawiem, niekiedy graniczące przekraczające.

Oczywiście nie cała młodzież bierze w tym udział. Wybryki te nieraz są potępiane. W tym roku spotkałem na Overlooku dwóch bardzo młodych turystów w wieku lat 17 — 18. Byli wstrząśnięci tym, co zobaczyli. „Co za hańba” — rzekł jeden z nich. „Przecież to jeszcze teraz dało by się zamienić na sanatorium”. — Ale najczęściej akty te są tolerowane, nieraz nawet wręcz pochwalane przez dorosłych. Gromada turystów, rozwalając porzucony hotel, w oczach własnych i w oczach innych zaznacza swą męskość. — Żaden z tych chłopców nie zrujnuje swego mieszkania ani mieszkania swych sąsiadów. Ale bez wahania zabierze się do rujnowania mieszkania bezpieczeństwa, chyba że jest w towarzystwie swej matki czy siostr. Będzie natomiast niszczył, będąc w towarzystwie swej przyjaciółki. Ona oczekuje od niego wszelkich dowodów mękości.

Dożo z zachowania się żołnierzy amerykańskich w Europie i Azji da się wyjaśnić na podstawie tego, cośmy znaleźli na Overlooku. Ruiny na pięknej górze w uroczym Catskillach mówią między innymi o istnie-

niu w Stanach Zjednoczonych głębokiego i niebezpiecznego problemu wychowawczego. Są one świadectwem faktu, że w narodzie, który szczyci się najlepiej wyposażonymi szkołami na świecie, procesy wychowawcze działają nieprawidłowo, że umożliwiają powstawanie wandalizmu i barbarii. — Zagadnienie przestępczości dzieci i młodzieży, sprawa band rówieśników, wandalizm — oto tematy, o których w Ameryce ciągle się mówi. I szuka się na tę chorobę społeczną różnych lekarstw. Nie są to jednak lekarstwa wystarczające. W najlepszym razie leczą symptomy, ale nie usuwają źródeł choroby. Te zaś ostatnie leżą bardzo głęboko, leżą u podstaw całej współczesnej cywilizacji amerykańskiej.

Ale w tych rozważaniach powakacyjnych w sprawie te widać głębiej nie możemy. — To, co tu chciałem powiedzieć, miało na celu stwierdzenie, że ruiny na szczycie Overlooku są czymś więcej niż ruinami hotelu, któremu się nie powiodło. Są one ruinami bardzo amerykańskimi — są świadectwem istnienia wielkich problemów, których owa Ameryka, potrafiąca przełamywać wszelkie trudności techniczne, ciągle rozwiązać nie umi.

Aleksander Hertz

SEWERYN POLLAK

Wiersze Juliusza Żuławskiego

SZCZUPLY tomik wierszy Juliusza Żuławskiego nie porywa bezpośredniością wypowiedzi. Żuławski nie jest poetą impulsywnego lirycznego odczucia — gęstsze przesłaniającej tecej do intelektu, trzeba je wielokrotnie przeczytać, aby wdrzeć się w ich atmosferę, aby właściwie je ocenić. Czytając te wiersze doznaje się wrażenia, że są one chłodne, więcej nawet, niekiedy sztuczne. Wydaje się, jak gdyby autor dokładał wysiłków, aby wytworzyć jak największy dystans pomiędzy sobą, swymi utworami a czytelnikiem. I tak chyba jest, ale pod tą zwierchnią skorupą literackości kryją się treści zupełnie inne, płynie podziemna struga rzetelnego głębokiego liryzmu. Rzekoma oschłość tych wierszy jest zamierzona, wynika z postawy ich twórcy. Żuławski opanowuje uczuciowość, choć wie dobrze, iż grozi mu niebezpieczeństwo, że postawa stanie się treścią, że ilość wysiłku, jaki zużywa na osiągnięcie w ten sposób kondensacji wiersza, na postawę jak najbardziej obiektywną i programowo literacką — zmienić się może w jakość, zatrzeć kontury indywidualności wiersza. Wiemy dobrze, iż konwencjonalizm zamierzony, podejście formalne, choćby wynikało z nadmiaru liryzmu, choćby było tylko barwą ochronną, swoistą antyuczuciową mimikrą, prowadzić może nawet do samobójstwa poetyckiego, jeśli treść wewnętrzna wiersza, postawa ideaowa poety nie przebijają się poprzez zastępną skorupę formy. Żuławski nie obawia się tych niebezpieczeństw, podejmuje je odważnie. Ucieczkę w konwencjonalizm, odwoływanie się do gotowych wzorów literackich warunkuje przylem nie tylko jego postawa ideaowa, ale — i to przede wszystkim — treść „Pola widzenia”. Nie należy zapominać, że jeśli nawet w zbiorze tym przeważają wiersze pisane już po wojnie, to jej echo słyszy się tu wyraźnie poprzez równe metry sonetów, poprzez dokładnie odmierzone średniówki. Kilka dni temu ktoś mi powtarzał zdanie pewnego prozaika starszego pokolenia, że nasi pisarze cierpią na obsesję tematyki wojennej. Było to powiedziane w formie zarzutu, gdyż rzekomo ta obsesja zamyka oczy pisarom na sprawy dnia dzisiejszego. Prozaik ów nie jest materialistą i dialektyczny sposób myślenia jest mu całkowicie obcy i dlatego mógł sobie pozwolić na tego rodzaju kategoryczny sąd. Byłoby oczywiście nie do pomyślenia, jeśli by tematyka wojenna tak całkowicie absorbowowała pisarzy, że nie mogliby oni poprzez nią dojrzeć olbrzymich dokonywujących się obecnie przemian, lecz z drugiej strony nie wyobrażam sobie, by pisarz, człowiek, który chociażby z racji swego zawodu musi czujnie i dokładnie oceniać zjawiska historyczne, mógł przejść do porządku dziennego nad najgłębszymi, najtrudniejszymi przeżyciami, jakie dotknęły ludzi naszego pokolenia. A



Juliusz Żuławski

przecież sprawy dnia dzisiejszego bezpośrednio z nich wynikają, oparte są na nich, nie może więc być mowy o podejmowaniu w literaturze zagadnień bieżących bez uosobienia rzeczy, które je uwarunkowały, przynajmniej bez rozważania tych spraw równoległe.

Żuławski w „Pole widzenia” kończy przeżywanie wojny. Ucieka od jej skutków psychicznych w zorganizowany świat wiersza. Nie otrząsnął się jeszcze całkowicie spod jej wpływu, rzeczywistość nie okrępiła dla niego jeszcze w skończony kształt, jest to jak gdyby stan przejściowy pomiędzy jawą a snem.

Reka przecieraś czoło, ale nie odgadniesz, kiedy sen wstrząśnie światem, a świat w sen zapadnie.

Stąd w wierszach jego atmosfera drugiego planu, stąd przeżywanie wstecz, rozpamiętywanie, wspomnianie dni szczęśliwych i dni, gdy szczęście to rozpadło się wraz z otaczającym światem.

Dlaczego unosisz mnie wstecz, gdy myślą naprzód biegnę? Dlaczego podsuwasz mi miecz, gdy przecież od kuli poległem?

I w jakim to przestwór samotny chciałabym przerzucić mój cień, choć stoję — jak stałem — u zwrótnic i mierzę rosnący dzień?

tak pisze autor „Pola widzenia” w wierszu „Walka z aniołem”. Słowa te są nieodmiennie znamienne, określają bodajże całą jego postawę. Jest to postawa człowieka z trudem przedzierającego się przez gęszczę zdarzeń ku jasnemu, z dala widomemu celowi. Nawyk do samotnych wędrowek psychicznych jest jeszcze u Żuławskiego dość silny, a „Pole widzenia” jest jednym z etapów walki, jaka stacza z tym nawykami poety.

Za nami — sny, przed nami — rzecz, nad którą się schylił w pokłoniu —

mówi Żuławski, kończąc uprzednio cytowany wiersz. Poeta w społeczeństwie znalazł sprzymierzeńca i przy jego pomocy wygrał „walkę z aniołem”. Pozorny ład tych wierszy oddziałania nagłe trudne i doprawdy wymagająca uporządkowania sprawy. Poza tym ładem kryje się gorzkie widzenie świata, rozprawianie się ze swoją epoką, z typowo inteligentnym rozpręgnięciem, z pustką, samotnością psychiczną w obliczu wielkich przemian. Z tych właśnie przyczyn wynika ucieczka do świata rzeczy drobnych — do wspomnień. To właśnie jest źródłem oparcia się na tradycjach formalnych, stąd owa zamierzona wtórność, o której była mowa uprzednio, bezpośrednio odwoływanie się do dawnych, wypróbowanych wzorców poetyckich.

Podróż w przeszłość odczuwa się zawsze niebezpiecznie. Granicę pomiędzy jawnością a twórczym rozprawianiem się z sobą i determinantami społecznymi swoich czasów jest wąska i niezawsze uchwytna. Tego rodzaju walka wymaga obiektywizacji — Żuławski umie zwycięsko przekraczać Rubikony, konieczną obiektywizację znajdując zarówno w opanowaniu formy, jak i w częstym wplątywaniu wątków epickich w liryczną tkaninę swoich wierszy. Charakterystyczny pod tym względem jest utwór „Stady na szosie”, gdzie w trzech strofках znajdujemy lapidarny poetycki skrót wypadków historycznych:

Po szosie pomorskiej, która już ostygła, gniotł asfalt sznur pojazdów zębami — jeśli po prawej stronie asfalt w gruz się zniecił, wiesz dziś kto tu uciekał i kto kogo ścigał.

Ale i tu poprzez racjonalistyczne uciele, poprzez epickie widzenie przebijają podskórna struga liryczna.

Jest rzeczą obojętną w istocie, czy kanony literackie wywodzą się z tego lub innego źródła, czy wzorcem bezpośrednim jest w tych wierszach poeta Iwaszkiewicz, czy barokowe aforyzmy „Srebrnego i czarnego”. Ważniejszy jest wniosek ostateczny autora — punkt wyjścia do dalszej twórczości. „Gorzko i ładnie” kwitł świat dla Żuławskiego do czasów wojny, przyczym „ładnie” oznaczało nie tylko urodę, ale i pelen ład, ład gorzki, ład ciszy strutej cieniem, w którym nie można było żyć. Istnieją dwie drogi, ażeby wyżyć się tej goryczy: jedna droga to samotna wyprawa po miastach kiedyś zwiedzanych, rozpamiętywanie i żalność po świecie umarłym, zatonienie się w: mgłę, zmierzchu i „samotnej połodze”. Drugą drogą autor zakreślił niejako programowo w ostatnich słowach wiersza zamykającego zbiór: „popioły swoich dziejów porzuczaj ptakom — zmierz dzieje ludzi”.

„Pole widzenia” to zbiór wierszy poety, który przekroczył rozdroże, który miał na pewno wątpliwości, pasował się ze sobą, ale przecież to zmaganie się wewnętrzne świadczy, że poeta Żuławskiego jest głęboko ludzka, głęboko prawdziwa. Żuławski wie doskonale na czym polega powołanie poety.

I tak gdy idziesz przez ugór, prostujesz droge oczyma — droga twych oczu się trzyma, jak skiba ostrza plugu.

mówi on o pisaniu wierszy. W ten sposób poprzez prostowanie dróg rozszerza się „pole widzenia” poetyckiego.

Seweryn Pollak

JULIUSZ ŻUŁAWSKI
POLE WIDZENIA
(wiersze z lat 1940-1946)

Cena zł 100

Spółdzielnia Wydawnicza „Czytelnik”

MARIA JANION

Książka o literaturze powojennej



Ryszard Matuszewski

KSIĄŻKA Ryszarda Matuszewskiego „Literatura po wojnie” stanowi zbiór krytyk publikowanych w większości wypadków w „Kuźnicy” na przestrzeni lat 1945-48. Jest to zatem podsumowanie dorobku pracy krytycznej autora w przeciągu trzylecia powojennego i zarazem przegląd szeregu wybitniejszych osiągnięć prozy powieściowej i liryki lat ostatnich.

Mimo zastrzeżeń autora, aby książki jego nie traktować jako próby syntezy, lub jako dzieła o charakterze wyczerpującego informatora o powojennym ruchu wydawniczym, mimo stwierdzeń, że jej ambicje i osiągnięcia dotyczą innego planu działalności kulturalnej, należy podkreślić fakt, że książka Matuszewskiego jest pierwszą — obok „Pograniicza powieści” Wyki — powojenną publikacją tego typu. Nie dając całościowej oceny sytuacji nowej literatury, na co zresztą — poza publicystycznymi impresjami — jest może zbyt wczesnie, formułuje jednak krytyk ocenę szeregu reprezentatywnych zjawisk literackich z określonego ideologicznego i estetycznego stanowiska. Tym samym gromadzi przesłanki do takiej sumarycznej oceny.

Niejednokrotnie już zwracano uwagę na wyjątkowo trudną sytuację krytyki literackiej sensu stricto, krytyki formułującej bezpośrednią ocenę narastającego życia literackiego. Na ogół bardziej nęca bezpoczucie tory drobiazgowych studiów nad niewystępowanymi wielkościami, lub laury rewizjonizmu ustalonych sądów historii. Badacz współczesności literackiej jest jednak w większej mierze politykiem kultury, jego krytyka jest z reguły krytyką postulującą, oddziaływającą w pewnym stopniu na rozwój procesów literackich. Współczesnie skomplikowana sytuacja naszego życia kulturalnego, jak zresztą i swoisty historyzm oraz poszukiwanie genealogii teraźniejszości, skierowują wysiłek większości współczesnych literaturoznawców do specyficznej „krytyki historyczno-literackiej”. Tym donioślejszy jest zatem wysiłek nielicznych krytyków literatury najnowszej, wysiłek, który warunkuje normalny rozwój życia literackiego.

Smutniej jeszcze przedstawia się stan liczny kompetentnych krytyków poezji. Człowiek w pozycje współczesnej liryki nie zostały dotychczas należycie oświetlone wskutek braku doświadczonych recenzentów poezji. Prace krytyczne Matuszewskiego poświęcone lirycy powojennej należą do szczytów liczby odpowiedzialnych, nieimpresjonistycznych studiów z tej dziedziny (poza nimi wymienić należy interesujące prace Michalskiego, trafnie i poprawnie metodologicznie krytyki Anny Kamińskiej, rzadkie niestety omówienia Wyki).

Autor określił uprawiany przez siebie rodzaj krytyczny terminem „szkice krytyczne”. „Tradycje genologiczne” tego typu krytyki na gruncie polskim wiążą się z epoką pozytywizmu. Rodzaj ten wyraża niewątpliwie z publicystyki czasopiśmienniczej. Żywy ruch w polemice literackiej lat pozytywizmu i charakter sporów literackich, nigdy nie ograniczających się do dziedziny ściśle estetycznej, wyznaczyły kształt rodzajowy „szkicu”. Prócz pewnej fragmentaryczności, „szkicowości”, rezygnacji z wyczerpania zagadnienia na korzyść silniejszego uwydatnienia problemu interesującego pisarza, odznaczał się ten gatunek krytyczny polityczną aktualnością, ścisłym kontaktem z praktyką życiową, zdecydowaną ideologią społeczną. „Szkice i studia” Chmielowskiego, „Szkice literackie” Stanisława Krzemińskiego — obejmujące krytyki drukowane w „Kłosach” i „Bluszczu” — a w silniejszym jeszcze stopniu „Szkice literackie i naukowe” J. L. Popławskiego — dorobek jego potyczek z czasów „Głosu” — stanowią doskonałe przykłady tego bojowego, zaczepnego gatunku, kipiącego aktualnością walki.

Szkic — jeden z najbardziej giętkich i podatnych rodzajów krytycznych — oderwany od publicystyki czasopiśmienniczej w okresie moderny stał się narzędziem estetyzującej krytyki impresjonistycznej. Szeroka perspek-

tywa społeczna, w jakiej rozwija się współczesne życie kulturalne, sprawia, że i dziś „Szkice krytyczne” Matuszewskiego pulsują żywym tętnem społecznej aktualności naszego czasu. Związane z życiem pisma o zdecydowanym obliczu politycznym, pisma, kształtującego w ogniu walki ideologicznej nowe wartości kulturowe, są — mimo dążenia autora do ustrzeżenia się przed zacieńtrzeniem — przeniknięte nurtem żywej polemiki ideologicznej, a miejscami nabierają charakteru publicystyki politycznej.

Problematykę szkiców Matuszewskiego wyznacza w równym stopniu recenzowane zjawisko literackie, co i aktualne zagadnienie współczesnej publicystyki społecznej. Pierwsze próby polemiki z Sartrem i filozofią egzystencjalizmu, charakterystyczne dla pierwszej połowy 1946 r., ukształtowały w dużej mierze rozważania nad powieścią J. Zawicyńskiego „Droga do domu”. Drażliwe sprawy emigracji londyńskiej i „emigracji wewnętrznej” które w początkach 46-go roku stanowiły w naszej publicystyce problem niepokojący i tak zdawało się trudny do rozwiązania, zaważyły niewątpliwie poważnie na ocenie „Droga wiodła przez Narwik” Pruszyńskiego. Szkic „O tzw. literaturze chłopską” powstał na marginesie aktualnych w lipcu 1945 r. zagadnień, jakimi drogami pójdzie w nowej Polsce ruch kulturalny wsi. Dyskusja o realizmie — jedna z najdonioślejszych dla kierunku rozwoju powojennego życia literackiego — urobiła stanowisko estetyczne Matuszewskiego, współdziałając przy wytworzeniu się jego kryteriów oceny współczesnych pozycji literackich. Ten żywy kontakt z publicystyką aktualną sprawia, że książka Matuszewskiego i jej problematyka — związana tak ściśle z zamówieniem społecznym tych lat — trafia na silny oddźwięk we współczesności.

Autor wyjaśnia w przedmowie, że „bardziej niż na rejestrowaniu faktów zależało mu na zajęciu wobec nich określonego stanowiska, przełamaniu pewnego typu spojrzania na literaturę, rozpowszechnionego w naszej krytyce”.

Pozostawiając na razie na uboczu zagadnienie przełamania tradycji metodologicznej, należy stwierdzić, że szkice Matuszewskiego stanowią nade wszystko próbę przewyższenia spuścizny estetyzującego klerizmu i małego eklektyzmu krytyki dwudziestolecia. Zwrot w tym kierunku dokonał się wyraźnie w ostatnich latach przedwojennych. Ludwik Fryde w swych szeroko komentowanych studiach o krytyce literackiej dążył do rozdziału funkcji krytyki literatury i badacza, przeciwstawiając racjonalizowanemu wysiłkowi badawczemu, bezstronnemu stanowisku historyka literatury postawę krytyka-moralisty, działacza, polityka kultury. „...badacz literatury, jak każdy przedstawiciel nauki czystej, zajmuje wobec swego przedmiotu postawę czysto spektatorską; postawa krytyka powinna być odmienna. Krytyk powinien stać nie na zewnątrz, ale wewnątrz kręgu żywej, fermentującej twórczości... Analiza formalna, klasyfikacja i systematyzacja na gruncie ściśle ustalonych, niezmiennych pojęć wymaga beznamiętnej, bezosobistej postawy badacza; postulowanie sensów, ustalanie dyrektyw artystycznych, określających idealne cele twórczości w określonym czasie i środowisku, wymaga postawy zupełnie odmiennej: postawy działacza”.

Szkodliwa zasada rozdziału między nauką a działalnością krytyka, stworzona w chęci ratowania uprawnych wartościujących funkcji krytyki wobec szerzącego się mieszczańskiemu mitu „nauki czystej”, bezstronnej, unikającej wszelkich sformułowań aksjologicznych i wskutek przekonania o nieuniknionym subiektywizmie każdej oceny wartościującej, została już dziś przełamana. Powojenna polityka kulturalna nie widzi sprzeczności między funkcjami poznawczymi literaturoznawstwa a działaniem kulturowym. Przedwojenna twórczość krytyczna Matuszewskiego wyrosła z atmosfery Warszawskiego Koła Polonistów, które pozostawało w dużej mierze pod wpływami poglądów Frydego. W czasach powojennych te ugrupowania ideowe — droga specyficznych ewolucji, jakim podlegały pewne kręgi inteligencji polskiej — zerwały z tradycjami mieszczańskimi teorii kultury. Postawa ideologa, koncentrującego uwagę na szeroko pojętym „sensie moralnym” książki, nasycona dziś nową treścią ideową, stanowi pozytywną wartość, ocaloną z gruzów starego świata.

Ideologia krytyczna Matuszewskiego wyznacza mu miejsce na umiarkowanym skrzydle krytyki socjologicznej. Jego stanowisko

metodologiczne i ideowe jest zdecydowane zwłaszcza w negacji, w jasnym widzeniu jałowości i częściowej tylko przydatności praktycznej formalizmu oraz wadliwości podstaw filozoficznych psychologizmu. Niewątpliwie — partie polemiczne książki są ciekawsze pisarsko, poprawniejsze metodologicznie, bardziej odkrywcze. Twórczość przeciwników ideowych naświetlona jest bardziej wnikliwie, niż książki pisarzy własnego obozu. Sformułowania recenzji o książkach Zawieyskiego, Zukrowskiego, Pruszyńskiego, Rymkiewicza, Zagórskiego, stanowiące bezbłędną diagnozę badanego zjawiska literackiego, odegrały dużą rolę w formowaniu się obiegowych pojęć ideologii społecznej lat powojennych. Te pozycje krytyczne stanowią organiczną część bojowej publicystyki „Kuźnicy”, bez której nie da się pomyśleć historii lat 1945-48.

W rachunku metodologicznym „debet i habet” autora należy wspomnieć o szczęśliwych próbach uściślenia pewnych, niedość sprecyzowanych, schematów interpretacyjnych socjologicznej teorii literatury. Tak więc w porównaniu z ogólnikowym schematem Lucasa, stwierdzającego, że klimat kultury późnomieszczańskiej nie sprzyja rozwojowi liryki, Matuszewski zastosował w analizie kryzysu liryki w zmienionej sytuacji historycznej schemat interpretacyjny o wiele bogatszy i wciągnął w rozważania o wiele szerszy zakres zjawisk pozaliterackich. W zakończeniu zaś studium rozwinął trafnie stronę postulatyczną. Zwłaszcza polemika z rozpowszechnionym, ahistorycznym i normatywnym rozumieniem poezji i jej rzekomej obcości pierwiastkom racjonalizmu i utilitaryzmu w kulturze okresu, nabiera dziś szczególnego znaczenia wobec aktualnych dyskusji wokół książki Borowego. „Jeżeli zgodzimy się na stwierdzenie, że istnieje dziś w Polsce kryzys liryki, jeżeli można by przypuścić, że jedną z jego przyczyn jest to, że nie sprzyjają jej rozwojowi dzisiejsze tendencje racjonalistyczne i realistyczne w literaturze, to jako wniosek z tego trzeba by wysnuć stwierdzenie, że właśnie ta współzależność jest smutnym i domagającym się zmiany objawem niedostatku naszej kultury umysłowej i literackiej. Trzeba by raz jeszcze powtórzyć prawo o niedokształceniu naszej młodzieży, o złych myślowych tradycjach w naszym społeczeństwie, raz jeszcze wskazać na płodne następstwa i możliwości artystyczne, związane z rozwojem kultury intelektualnej. Trudności bowiem związanych z koniecznością wchłonięcia wielkich doświadczeń cywilizacji i przygody intelektualnej literatury nie ominie, nie ominie jej też, mimo wszelkich prerogatyw swobody twórczej — współczesna liryka. Jeśli ma stać się wyrazem czasu, jeśli ma podtrzymać choćby najlepsze z tradycji poetyckich międzywojennego dwudziestolecia”.

Założenia metodologiczne szkiców Matuszewskiego trudno ustalić na podstawie przedmowy o autorstwie. Credo metodologiczne autora zdecydowane w odcinaniu się od wrogich dyscyplin teoretycznych, w części formułującej własne podstawy pracy badawczej wyczerpuje się w ogólnikach, których aprobaty nie warunkuje skądinąd znana postawa ideologiczna autora. Dlatego też dla opisanego warsztatu krytycznego Matuszewskiego należy sięgnąć do szczegółowej części jego pracy, wydedukować metodę z praktyki badawczej, z konkretnego zastosowania do materiału literackiego.

Krytyka marksistowska — w zasadzie genetyczna — z trudem potrafi się zdobyć na pełne stanowisko wyjaśniające wobec pozycji współczesnych. Brak dystansu zmniejsza szanse właściwego określenia sytuacji społecznej pisarza. Zawiloch, płynność panującej manieri pisarskiej uniemożliwiają jasne ustalenie i poklasyfikowanie jej właściwości. Wreszcie trudność w hierarchizacji i ocenie doniosłości zjawisk z dziedziny pozaliterackiej i ich niejednokrotnie bardzo zakomplikowanych i skomplikowanych relacji ze światem sztuki, sprawia, że najwybitniejsi przedstawiciele krytyki socjologicznej rezygnują najczęściej z postawy genetycznej wobec dzieł współczesnych, a nawet wobec wielu wybitnych pozycji stosunkowo niedawnej przeszłości. Tak Andrzej Stawar powstrzymał się nawet w studium o „Przedwiośnie” Żeromskiego od szerszych rozważań genetycznych, przenosząc moment analizy socjologicznej na problem recepcji i relacji ze światem pozaliterackim.

Matuszewski istotnie z wyluszczonej perspektywy uprawia jedynie surogat praktyki genetycznej. Ustala wiązania jedynie w płaszczyźnie zjawisk kulturowych w węższym

rozumieniu tego słowa. Widoczne jest dążenie do przełamania mitu autonomii literatury przez ustawienie interesującego zjawiska literackiego w szerokim kontekście kulturowym, jak to ma miejsce w przypadku szkicu o Zawieyskim czy Zukrowskim. Krytyka Matuszewskiego, krytyka par excellence ideologiczna, zajmuje się w pierwszym rzędzie analizą sfery sensów dzieła literackiego. Za interesowania ściśle formalne dochodzą do głosu rzadziej, większa precyzja analizy formalnej, występuje, rzecz zrozumiała, w szkicach o lirycy powojennej, choć i tu na plan pierwszy wysuwa się zagadnienie nie tyle specyficznych kształtów artystycznych, ile aktualnego społecznego sensu nowego zjawiska literackiego. Wysiłek krytyka idzie po linii określenia „postawy” autora i przeprowadzenia merytorycznej dyskusji ideologicznej.

Przyjęta przez Matuszewskiego formuła „postawa” nie jest tu właściwa dla określenia kierunku jego rozważań. Fakt poszukiwania „postawy” mógłby sugerować podejrzenie, że krytyk dąży do skonstruowania systemu poglądów autora w rozumieniu psychologicznym. Tymczasem jest to po prostu metodologicznie poprawne staranie o odcyfrowanie obiektywnego sensu ideologicznego zjawiska literackiego. Termin „postawa” jest więc jeszcze jednym reliktem dawnej, przedwojennej działalności krytycznej Matuszewskiego. (Zagadnienie „postawy” stanowi np. motyw konstrukcyjny recenzji omawiającej „Gospodę zmierzchu” Adolfa Sowińskiego w „Ateneum” — 1939). Relikt frazeologiczny pokrywa, dezorientując nieco, nową już „postawę” krytyka, nową treść ideologiczną.

Analiza ideologiczna w pracy Matuszewskiego oparta jest na rozumieniu specyficznego załamania, jakiemu „ideologia” ulega w zespole form dzieła literackiego. Docenia on konieczność przyjmowania dla każdego sadu poprawek od kontekstu literackiego, komplikacji formy artystycznej. Analiza ideologiczna Matuszewskiego nie jest zatem nigdy analizą wulgaryzującą czy insynuującą. Szczególnie wobec przeciwników — podkreślić należy z uznaniem — sumiennie krytyka sprawnie, że zarzuty są w pełni umotywowane, a kształty literackie ideologii trafnie odcyfrowane.

Dość częstym chwytym w analizie ideologicznej Matuszewskiego jest tropienie załamania autorskich i rozszyfrowywanie karyktur sytuacji historycznych oraz celów, jakim one służą w utworze. Dużo miejsca poświęca krytyk tej problematyce w szkicach o „Rzeczywistości” J. Putramenta, czy o „Z kraju milczenia” Zukrowskiego. Częstym zabiegom warsztatowym jest również odcyfrowanie sensu ideologicznego postaci czy sytuacji literackiej przez oświetlenie jej komentarzem historycznym, ustawienie na tle obiektywnej rzeczywistości pozaliterackiej.

Interesujące marginalia prac krytycznych Matuszewskiego stanowią uboczne ustalenie ładunków ideologicznych i rodowodów historycznych pewnych formacji kulturowych, określanych lapidarnie skrótowo „galczyńszczyzna”, czy „malaczewszczyzna”.

Szkice Ryszarda Matuszewskiego reprezentują opinie krytyczne dość szeroko rozumianego „obozu postępu” w Polsce, nie tylko węższej grupy radykalnej „Kuźnicy”. Stąd niejednokrotnie stanowią niejako zafiksowanie, ostateczne sformułowanie opinii nurtujących w szerokich kręgach społeczeństwa. Rewizjonizm nie leży na linii usiłowań autora. Będzie niejako dokumentem recepcji pewnych zjawisk literackich w określonych kręgach ideologicznych wnoszą szkice Matuszewskiego jednocześnie cenne przyczynki do dorobku krytyki współczesnej, dorobku, który przejmie historia literatury. Należy do nich między innymi analiza neoromantycznego historyzmu Pruszyńskiego i jego związków z żeromszczyzną oraz studium o „wartościach realizmu pesymistycznego”, jedyna współczesna ocena sumaryczna wzniewiona przedwojennych powieści Gojawiczyńskiej i jednocześnie próba przewartościowania zastanych ocen krytycznych. Badacz interesującego problemu przełomu stylów poetyckich, który w twórczości pewnych poetów dokonał się u progu nowych czasów, nie będzie mógł pominąć szkicu o ewolucji poetyckiej A. Ważyka („W poszukiwaniu rzeczywistych rygorów poetyckich”).

Można by obok tych niewątpliwych osiągnięć wskazać również i na pewne potknięcia się autora: takim wydaje mi się np. wywód o ścisłej korelacji między powikłaniem i skomplikowaniem stosunków gospodarczych a ucieczką od rzeczywistości współczesnej literatury. W szkicu „O literaturze dwudziestolecia” czy też rozważania o „guście narodowym” Polaków bez uprzedniego wyświeślenia historycznych i klasowych przyczyn takich upodobań, w recenzji z poezji Pawła Hertzka.

We współczesnym życiu literackim zarejestrowano dwa specyficzne zjawiska „nihilizmu” krytycznego, z którym rozprawiano się już na łamach „Kuźnicy”. Mam tu na myśli wystąpienie Kotta („Zoil albo o literaturze współczesnej”) oraz — toute proportion gardée — Kuliezkowskiej („Swinka morska, czyli o krytyce współczesnej”). Oddziaływały współcześnie dwa gatunki tego nihilizmu: negacja wszystkich osiągnięć powojennej literatury oraz zaprzeczanie współczesnej krytyce literackiej miana krytyki „twórczej i żywej”, traktującej utwór „jako wyraz rzeczywistości kulturalnej i jako czynnik kształtujący nowe jej formy”.

„Literatura po wojnie” Matuszewskiego stanowi odczynnik w walce z nihilizmem obu typów.

Maria Janion

PRZEWODNIK BIBLIOGRAFICZNY

urzędowy wykaz druków

wydanych w Rzeczypospolitej Polskiej i poloników zagranicznych wychodzi regularnie od stycznia b. r. co tydzień nakładem BIBLIOTEKI NARODOWEJ.

Podaje w układzie działowym spis nowości wydawniczych. Ułatwia nabywanie książek.

Jest niezbędny w każdej bibliotece i w roku wszystkich interesujących się ruchem wydawniczym.

Prenumerata roczna zł 1.600,-- wylącznie na konto czekowe PKO-1-7119.

Rabat księgarski nie udziela się.

Administacja: Biblioteka Narodowa, Warszawa, ul. Rakowiecka Nr 6. Telefon Nr 405-43.

* Ryszard Matuszewski, „Literatura po wojnie. Szkice krytyczne”, „Książka”, W-wa, 1948.

ADOLF SOWIŃSKI

Wiejskie opowiadania Mortona

ZAWARTE w tomie „Klucz Bożej Klamenty” dziesięć opowiadań Józefa Mortona stanowi prawie w całości jego dorobek powojenny i należy do tematyki nawiązującej bezpośrednio do współczesności, jeżeli pominiemy trzy utwory („Klucz Bożej Klamenty”, „Czarownice” i „Cacko odpustowe”), osnute na ogólnej obyczajowości wsi. Spośród opowiadań współczesnych przeważająca część rozciąga przed nami wydarzenia z życia społeczeństwa polskiego podczas wojny, reszta natomiast dotyczy wydarzeń i problemów powojennych, jedyną przy tym sceną, na której rozgrywa się akcja wszystkich opowiadań, jest wieś ziem pińczowskiej i stopnickiej, wieś stron rodzinnych pisarza, który przeżył tam okres wojny.

Nader obfita już literatura wojenna zajmuje się przeważnie tak zwanymi zagadnieniami wielkimi, problemami ogólnych komplikacji moralnych na tle barbarzyństwa hitlerowskiego. Morton ocałił mniejsze ale i konkretniejsze sprawy, pokazał bowiem w szeregu migawek życie i nieszczęścia wsi polskiej podczas wojny. Nie szczędzi nam odnośnych obrazów w takich opowiadaniach, jak „Lapanka”, „Butki”, „Zośka”, „Epizod” i „Gazetka”.

Z kolei opowiadania o tematyce powojennej („Wieża”, „Franusio szczęście”) świadczą chętnie o zaangażowaniu się pisarza w zagadnienia chwili bieżącej, zagadnienia pozornie małe, a jednak dla współczesności doniosłe. Nauczyciel wiejski, który pod wpływem dzieci pozostaje w wsi, chociaż dostał o wiele zyskowniejszą posadę w miejskiej spółdzielni, oraz ginący od kul bandy leśnej Franus, awansowany na oficera wprost z rodzinnego zagony, są znanymi i diagnostycznymi postaciami wczorajszej rzeczywistości. Morton staje po ich stronie.

Jego opowiadania należy w większości uważać za powiastki moralne. I jak zwykle bywa w powiastce, nie znajdujemy tu specjalnych rozważań i dociekań moralnych na tle danego odcinka rzeczywistości, znajdujemy natomiast charakterystyczne myślenie obrazami i fabułą, której wynikiem jest zarazem formuła moralna, a więc potępieniem lub uznaniem dla danego zjawiska, jego oceną i diagnozą.

Jest to tryb postępowania wywodzący się z głębokiej tradycji, mający jednak za sobą nie tylko Voltaira i Diderota, ale i Kle-

*) Józef Morton „Klucz Bożej Klamenty”. Str. 191. Spółdz. Wydawnicza „Książka”, Warszawa 1948.



Józef Morton

mensa Junoszę. Pokrewieństwo z tym ostatnim, z jego prostoduszną rodzajowością staje się nieestetyczny i ówczesny udział Morton. Właściwie jest u niego w znacznym stopniu tradycja umowna i po literacku tradycyjna: wieś ze stylizacją na wieś. „Była — czytamy na przykład — godzina najwyższym pierwsza po północy. Noc jeszcze czuwała nad snem, ale niebawem miała się rozpylić w nadciągającej jasności przedranka. Ponieważ gwiazdy gasty już nawet, nie czekając końca misterii panowania mroku nad światem”.

To stylizacja poetyczna, jest jednak i stylizacja obyczajowa. I dopiero tam, gdzie zaczyna działać zagadnienie, Morton staje się interesujący i żywy pomimo obciążenia stylizacyjnego. Dostrzegamy to w kapitalnym „Kluczu Bożej Klamenty”, gdzie sprytna zebrażka ciągnie spore zyski z eksploatacji wiejskich zabobonów, spotykamy się z tym w „Zośce”, gdzie młoda chłopka, zdecydowawszy się ochotniczo na zanieślenie jądła ukrytego przed Niemcami Żydom, tchórzy w momencie niebezpieczeństwa i dyskredytuje swój piękny czyn, widzimy to na koniec wszędzie tam, gdzie akcja panuje nad stylizator-

ską impresją na temat przyrody i obyczajowości wiejskiej.

I chyba tedy powinna wieść dalsza droga tego dobrego prozaka, jakim jest Morton w wielu partiach swych opowiadań, chyba powinien jak najbardziej dynamizować swą prozę akcją, którą umie co prawda stwarzać, ale której należy nie kondensować, dając się ponieść bezbarwnym, bo wtórnym scenkom rodzajowym.

Wreszcie osobna uwaga należy się językowi Mortona. Jest to język pełen niebezpieczeństw pomimo swej potoczności. „Parafiańska, mój przyjacielu — wywodzi dowcipnie doktor Marambot w jednej z nowel Maupassanta — jest najczystszy patriotyzmem. Kocham swój dom, swe miasto, a w szerszym tego słowa pojęciu swą prowincję, ponieważ napotykałem tu również obyczaje mojej miejsciny”. Wiódłoby to jednak rzeczywistości pomiędzy dowcipem, bo konsekwencje praktyczne tego rodzaju poglądu zaprowadziłyby nas za daleko. Straciłoby dystans, czyli chwalebny cechę obiektywizacji stron rodzinnych. I tę cechę Morton po trochu traci właśnie na terenie języka, stosując zbyt obficie gwary nie tylko w dialogach — co byłoby zrozumiałe jako indywidualizacja — ale i w samym toku narracji. Należałoby się raczej zdecydować albo na pisanie gwara albo językiem literackim, do którego gwara wchodziłaby jedynie w swych formach powszechnie zrozumiałych. Gwara każdej stron naszego kraju zachowuje różnorodność słów staropolskich lub też opierających się na starej polszczyźnie i dzięki temu pozostawiają charakteru zjawiska językowego specjalnie regionalnego, a więc częstokroć niezrozumiałego bez słownika i odsyłaczy. Te formy warto i należy ocalić. W innym wypadku popadamy w niebezpieczeństwo jakiegoś na pół literackiego żargonu, nie do przyjęcia ani na wsi, ani w środowisku inteligentnym.

U Mortona z całą pewnością rzeczy nie posunęły się tak daleko, abyśmy mieli prawo mówić o żargonie, nie mniej jednak zjawisko to jest już dostrzegalne. Conrad orzekł chyba trafnie, że tylko piąscy ludzie nie kochają swych stron rodzinnych. Należałoby tedy zgodnie z tym orzeczeniem rzeczywistość — tak jak przytoczony doktor Marambot u Maupassanta — kochać swą prowincję, ale nie należałoby jednocześnie ani na chwilę zapominać, że granice kraju, którego kulturą żyjemy, są o wiele szersze. Parafiańska to tylko brak dystansu. W przyszłych książkach Mortona pragnęlibyśmy też dystansu w dziełach i w sferze językowej. Adolf Sowiński

PRZEGLĄD PRASY

PODOBNI jak w zeszłym tygodniu, tak samo i w bieżącym, szpalty literackiej prasy polskiej nadal są zajęte echemi Kongresu Wrocławskiego. Coprawda prasa katolicka okazuje wielką wstrzeźliwość w wypowiedziach na tematy kongresowe, należy jednak przypuszczać, że doczekamy się przynajmniej komentarza przemówienia księdza Boulier. Nie jestem przemierzący, ale przypuszczam, że zarówno przemówienie ks. Boulier, jak i obecność i widniejący pod deklaracją podpis dziekana Johnsona i ks. Boulier, skłoni wielu wierzących do przewidywania słuszności poglądów politycznych i społecznych, jakie bywają głoszone przez część kleru polskiego.

„Kuźnica” na innym miejscu przytacza pełny tekst rezolucji Kongresu, podpisanej przez wszystkich prawie uczestników, w tej kwestii przez przyłaczającą większość delegacji brytyjskiej i amerykańskiej. Nie będę cytował tej rezolucji i zadowolę się jedynie stwierdzeniem, że zarówno jej ton jak i treść pozwala podjąć ją każdemu, kogo rzeczywistość interesuje rozwój człowieka na ziemi. Wydaje mi się, że ci intelektualni, którzy powstrzymali się od złożenia podpisów w imię swojego liberalizmu, nie zorientowali się, że pomogli tym gestem siłom bynajmniej nie liberalnym. Nie wiem czy wolno jeszcze w Roku Pańskim 1948, by intelektualista nie orientował się w tym, jak się rozkładają wachlarz sił politycznych w świecie współczesnym. Sądzę, że profesor historii poważnego uniwersytetu angielskiego lub wybitny uczyony biolog nie może się w tym nie orientować. Wnioski z mojego rozumowania zechcą wyciągnąć moi czytelnicy samodzielnie.

Część przemówień kongresowych znajdujemy w nowym 36 numerze „Odrodzenia”. Są one nacechowane absolutną wiarą w człowieka i w powodzenie działalności pokojowej. Jeden tylko warunek stawia delegat austriacki, Ernst Fischer i delegat sowiecki, Ila Erenburg. Obaj — choć przemówienia ich dotyczyły tematyki spraw różnych — byli zgodni, iż powodzenie działalności pokojowej możliwe jest jedynie wówczas, gdy akcja taka będzie nierozdzielnie związana z przodującymi ruchami społecznej emancypacji człowieka.

Przemówienie Erenburga ograniczyło się tematycznie do krytyki podziału kultury na „wschodnią” i „zachodnią”. Jak wyglądałaby literatura Francji, Anglii czy Stanów Zjednoczonych, gdyby w drugiej połowie XIX stulecia nie ukazała się klasyczna powieść rosyjska, gdyby nie było Tolstoją i Dostojewskim, Turgeniewem i Czechowem? — pytał Erenburg na zjeździe.

Jasne jest, że podział na strefy kulturowe jest nonsensem, że nie ma nic wspólnego z rzeczywistością historyczną i cywilizacyjną Europy, że jest jedynie bronią polityczną skierowaną przeciwko nowej Rosji. Podział na strefy kulturowe przywozi mi na myśl akcję Burkiego, który organizował krucjatę przeciwko Rewolucji 1793 roku.

Erenburg w swoim przemówieniu, przypominając jego najgorętsze artykuły z okresu wojny, przedstawił słuchaczom, że podział kulturalny Europy nie odbywa się na płaszczyźnie polityki i ekonomii. „Burżuazja swego czasu stworzyła wielkie wartości. Drogie jest nam z przeszłości wszystko, co jest cenne i drogie są nam również uczeni, pisarze i artyści, którzy wyszli z trzeciego stanu. Ale Balzac pisał w twórczym okresie kapitalizmu. Obecnie kapitalizm niszczy i dziś nie może wydać nowego Balzaca” — mówił Erenburg. W tym samym numerze „Odrodzenia” został zamieszczony wstęp do katalogu wystawy malarstwa francuskiego, która została otwarta we Wrocławiu w czasie trwania kongresu i, miejmy nadzieję, będzie udostępniona również i innym miastom Polski.

Wstęp, pióra Jeana Marcenac, wyjaśnia tym, którzy będą patrzeć na obrazy Picassa, Matisse’a, Marqueta, Legera, Chagalla i wielu innych, przyczyny rozkwitu malarstwa paryskiego, trudno bowiem nazwać francuskim malarstwem Hiszpana Picassa, Żyda Chagalla i tylu innych, którzy przybyli do Paryża ze wszystkich stron świata. Trudno nazwać to malarstwo francuskim, gdy stosuje się zastarzałe kryteria narodowe. Należy je nazwać francuskim, gdy wraz z Marcenacem jest się pewnym, że „historia malarstwa nie można oddzielić od historii ludzkości. W aniolach Chagalla, twarzach Picassa, kobietach Fougerona, czy zwierzętach Luręta krąży ta sama krew. Jest to krew nasza, krew epoki pracy, w której żyjemy. Skończyła się epoka, kiedy malarstwo było próbą zrzeczości. Dziś jest problem sumienia”. Obecność Picassa i Legera na Kongresie, wystawa dzieł przodujących malarzy Paryża we Wrocławiu świadczy o sumieniu tego malarstwa, które wraz z robotnikami i pracującą inteligencją Francji potępia przemoc, niesprawiedliwość, imperializm. Ta solidarność sumienia określa dla mnie ostatecznie przynależność narodową malarstwa siedemnastu malarzy paryskich. Ta solidarność decyduje wreszcie o tym niezrozumiałym dla niektórych zjawisku, które pozwala łączyć szczerzy patriotyzm z największą ideą internacjonalizmu. ph.

KRONIKA RADZIECKA

Słownik dyplomatyczny

Pod tym tytułem ukazała się niedawno praca*), stanowiąca swego rodzaju encyklopedię traktatów międzynarodowych, konferencji, kongresów, osób i terminów wchodzących w zakres pojęcia dyplomacji. Wydanie to jest obliczone na dwa tomy, z których na razie ukazał się tylko pierwszy, obejmujący literaturę A do K i chronologicznie doprowadzony do maja r 1947. Główna redakcja „Słownika” spoczywa w rękach A. Wyszyńskiego oraz S. Łozowskiego.

Z rzeczy polskich pierwszy tom Słownika zawiera kilka mniejszych i większych artykułów: o Augustie II — August III nie figuruje wcale — i, przeszakując przez dwa stulecia, o Józefie Becku, o Władysławie i Stanisławie Grabskich oraz o rozejmach i traktatach pokojowych Polski z Niemcami, Rosją, Ukrainą i Turcją.

Straty puszkologii

W ciągu krótkiego czasu radziecka historia literatury straciła aż trzech poważnych i zasłużonych naukowców tej dziedziny, którzy sobie wyrobili imię zwłaszcza w zakresie badań nad życiem i twórczością Puszkina. W sile wieku, w pełni pracy twórczej zmarli w zeszłym roku Grzegorz Winokur oraz Mściśław Ciawłowski, postać czołowa wśród „puszkinowców” stolicy radzieckiej, który od lat wielu pracował nad wyczerpującą, chronologiczną bibliografią poety pt. „Prace i dni Puszkina”, nie doprowadzoną niestety do końca. Obecnie wskutek nieszczęśliwego wypadku zginął Lew Modzelewski, syn i kontynuator zmarłego przed 20 laty Borysa Modzelewskiego, znakomitego badacza, którego liczne prace zajmują przednią pozycję w literaturze „puszkinowskiej”.

Wojna w grafice

Pod tym tytułem*) „Muzeum Sztuk Plastycznych” stolicy radzieckiej wydało album, zawierający prawie setkę reprodukcji i rysunków, litografii oraz oryginalnych plansz rytowanych i plakatów artystycznych, w treści swej dotyczących drugiej wojny światowej. Zbiór ten zaopatrzyła obszernym wstępem Maria Z. Chodakowska, kustosz gabinetu rycin wskazanego muzeum.

W całości wydanie do pewnego stopnia daje miarę osiągnięć twórczych większości

*) Dyplomatyczny Słownik. Moskwa, 1948. Wydawnictwo Państwowe Literatury Politycznej.

*) M. Chodakowska, „Wielka Otczestwenna” Wojna w Sowieckiej Grafice. Moskwa, nakładem Muzeum Sztuk Plastycznych im. A. S. Puszkina 1948 4 25 str. i 88 plansz.

grafików radzieckich w przebiegu bieżącego dziesięciolecia. Krótkie dane biograficzne opracowane przez Chodakowską a dotyczące blisko 50 reprezentowanych w albumie grafików, są cennym uzupełnieniem tej pracy.

Wieczór pamięci Juliusza Osterwy

Istniejący w Moskwie przy Wszechrosyjskim Towarzystwie Teatralnym specjalny „Gabinet teatru słowiańskiego” z należytym pietyzmem kultury pamięć wybitnych aktorów polskich. Z lat poprzednich w pamięci pozostały nam akademie urządzone przez gabinet ku czci Jaracza oraz Stanisławy Wysockiej; obecnie w rocznicę przedwczesnego zgonu Juliusza Osterwy moskiewscy miłośnicy teatru mieli możliwość zaznajomienia się z pracą i znaczeniem jednego z najprzedniejszych reprezentantów współczesnej sceny polskiej.

Posiedzenie zagal Iwan Berseniew, jeden z najlepszych obecnie aktorów stołecznych

i kierownik „Teatru Leninowskiego Komсомола”. Mówca, który osobiście znał Osterwę i widział go kilkakrotnie na scenie, skorzystał z okazji, by wskazać utwory pisarzy polskich, grane ze znacznym powodzeniem na scenach teatru rosyjskiego. W wielu teatrach grano „Moralność Pani Dulskiej”, a niegdyś dużą popularnością cieszył się dramat Żuławskiego „Eros i Psyche” w którym Berseniew za młodu grał rolę tytułową.

Główną prelegentką wieczoru była p. W. Motylewska, która w swojej prelekcji stworzyła barwny obraz życia Osterwy i jego działalności aktorsko-reżyserskiej, podkreślając z jednej strony znaczenie „Reduty” dla teatru polskiego, a z drugiej — intensywny wpływ na rozwój talentu i dążności sceniczne artysty, jaki dawało zetknięcie się w Moskwie z miejscowymi teatrami, a głównie — bliska znajomość ze Stanisławskim podczas pierwszej wojny światowej.

Paweł Ettinger

FILMOWCY ZAGRANICZNI W POLSCE

Z okazji Światowego Kongresu Intelektualistów we Wrocławiu gościła w Polsce grupa filmowców zagranicznych, m. inn. znany reżyser radziecki Pudowkin, dyrektor Instytutu Filmowego w Paryżu Moussinac, reżyser francuski Daquin, włoski teoretyk i krytyk filmowy Umberto Barbaro, dyrektor węgierskiej Akademii Filmowej Faren Hont i węgierski scenarzysta Hay. Na zdjęciu goście zagraniczni w atelier filmu polskiego w Łodzi, gdzie reżyser radziecki Pudowkin, twórca „Burzy nad Azją”, wygłosił odczyt, w którym podkreślił konieczność współpracy filmowców z pisarzami, dając w ten sposób wyraz poglądom, dzięki którym film europejski stworzył swe najwspanialsze dzieła.



Siedzą: Umberto Barbaro, Louis Daquin, Wsiewołod Pudowkin, Leon Moussinac i Faren Hont.

Noty

Logika

W ukazującym się w Paryżu sanacyjnym czasopiśmie emigracyjnym, obok pamiętników Sławoj-Składkowskiego z okresu września 1939 r., znajdujemy elaborat p. Zbyszewskiego, w którym autor, po zestawieniu wielu danych statystycznych z dziedziny demografii, konkluduje:

„Podstawowy wniosek jest następujący: ludzkość może sobie na wielkie światowe wojny pozwolić. „...Po zbadaniu statystyki ludnościowej, jestem bardziej niż kiedykolwiek przekonany, że III wojna światowa jest absolutnie nieunikniona i że nie stoi na przeszkodzie, by miała wybuchnąć w niedalekiej przyszłości. Logika wymaga (sic!) też, by była ona nieskończenie bardziej mordercza i by zasięg jej był znacznie większy.”



Logika p. Zbyszewskiego wymaga restytucji zakładów typu Oświęcim, Majdanek, Treblinka, z tym, że niemiłosiernie „próbki produkcyjne” czynione w nich w minioną wojnę, mają nabrać teraz amerykańskiego rozmachu.

Ta sama logika skłoniła widocznie redakcję, nazwać skromnie swoje czasopismo „Kultura”.

I zapewne, tylko przeoczeniu należy przypisać brak w nagłówku określenia „Atlantycka”.

Bo dopiero wówczas byłoby w pełni logicznie.

Litt.

Co kraj — to obyczaj

Indie święciły po raz pierwszy rocznicę swej „niepodległości”. W związku z tym obchodem, w wielu miastach zgłodniała ludność rograbiała sklepy żywnościowe, policja strzelała, byli zabici i ranni, wiele osób aresztowano. W jednym z największych okręgów Hindustanu w Hyderabadzie — obchód święta „wyzwolenia”, w obawie rozruchów, z góry zakazano.



Każdy kraj na swój sposób czerpie święto niepodległości. Prawda, w Indiach obchód przybrał formy nieco niezwykłe, ale cóż robić?.. Jaka niepodległość, takie i jej święto.

b. d.

Religijność polityczna

Uroczystości 700-lecia katedry kolonijnej stały się pretekstem do nowej kampanii propagandowej na rzecz „Niemiec Zjednoczonych z Zachodem”.

W tym nowym „tricku” politycznym nie byłoby nic specjalnie nowego gdyby nie to, że oficjalnie wspiera go... Papież. Do Kolonii przybył specjalny legat papieski, kardynał Micara. Razem z nim w uroczystościach biorą udział kardynałowie: Suchard z Paryża, Griffin z Westminsteru, Innitzer z Wiednia i Faulhaber z Monachium. Gospodarzami uroczystości są: znany z rasistowskich poglądów arcybiskup kolonijny, kardynał Frings i burmistrz Kolonii Adenauer, szef A. D. U. (Unia Chrześcijańsko-Demokratyczna), zwa-



ny pospolicie „amerykańską nadzieją”. Z dygnitarzy świeckich wystarczą wyliczyć przedstawicieli generałów: Claya, Robertsona, Koeniga, no i... samego lorda Packenhamu jako ministra brytyjskiego, specjalistę od spraw Niemiec. Nie można też pominąć mnóstwa „dygnitarzy” ze wszystkich jedenastu prowincji.

Jednocześnie papież Pius XII, udziela szeregu audiencji zausznikowi prezydenta Trumana, nr. M. Taylorowi. Mr. Taylor nakłania swego czcigodnego rozmówcę do wystąpienia z nową encykliką na temat zagadnień politycznych i społecznych. Papież jest podobno, jak twierdzą Amerykanie, bliski zamierzonego celu.

Przedsmak tej encykliki dał właśnie na uroczystościach kolonijnych kardynał Frings,

który odkrył pewne intencje Ojca św. i cel uroczystości. Zebrał się tu — powiedział między innymi kardynał Frings — aby uczynić wyraźnie wyznanie swej wiary przeciw nowemu pogaństwu, które mniema, że jest w stanie rozwiązać tajemnicę życia... Prawdopodobnie mowa tu o tradycyjnych formach nienaruszalności proporcji posiadania i o chrześcijańskim sensie pokornej bytowania w nędzy. Coś podobnego tylko w innym ujęciu znajdujemy w 34 (179) numerze „Tygodnika Powszechnego”. patrz artykuł wstępny ks. Jana Piwowarczyka pt. „Komunizm” Ojców Kościoła”. Ułatwiam czytelnikowi zadanie, cytuję: „...A znowu wtedy, gdy następuje pogwałcenie drugorzędnych praw, że instytucja własności prywatnej jest koniecznością natury, gdy zagraża komunizm — wtedy kościół przypomina te drugorzędne prawa natury i broni własności prywatnej w imię naturalnych praw człowieka”. — i dalej — „Dostosowuje się Kościół do warunków, ale nie zmienia swej moralnej doktryny. Małozłoty walczył z przeszłości i małozłoty dziś?”... A toczy, toczy, proszę księdza, i doktryny nie zmienia. Słowa księdza bardzo przypominają słowa kard. Fringsa.

M. L-ski

Niekłamane oblicze kościoła

Przed kilku tygodniami czytaliśmy w „Dzienniku Polskim” rezolucję w sprawie słuszości naszych praw do Ziemi Odzyskanych jako odpowiedź na list papieski do biskupów niemieckich. Rezolucję podpisali księża dekanatów: mieleckiego i bielskiego. Księża ci dali wyraz swej postawy obywatelskiej i zyskali sympatię większości społeczeństwa polskiego. Nie zyskali natomiast ani cienia sympatii czy uznania, a nawet zrozumienia u kościelnej „góry”. Przeciwnie, za czyn swój zostali ukarani.



Kuria biskupia w Tarnowie ukarała księży dziekanów obu wymienionych dekanatów i wezwała ich do rezygnacji ze swych urzędów. Przed kilku dniami, na rozkaz Kurii Biskupiej w Tarnowie, dziekan mielecki ks. Michał Nawalny złożył swoje funkcje na ręce ks. Zajęca, a dziekan bielski ks. Bogumił Stawarz oddał urządowanie w ręce ks. Kurka.

Widzimy dziś jasno i wyraźnie jakie stanowisko wobec Państwa Polskiego zajmuje Kościół. Tym czynem wykazano najwyraźniej, że stanowisko to jest wrogię. Kazuistów, którzy w katolickich czasopiśmie broniли antypolskiego stanowiska Papieża, pochwalono i nagrodzono awansem. Ukarano natomiast tych księży — Polaków, którzy nie chcieli przyjąć odpowiedzialności za list papieski do biskupów niemieckich. Ukarano ich pozbawieniem stanowisk za to, że wyrazili swoją solidarność ze stanowiskiem całego społeczeństwa.

Dion biskupa dosięgać mogła, ale przypominamy księdom biskupom, że 1) w referendum 1946 r. cały naród głosował za Ziemiami Odzyskanymi i 2) cały naród ogłosił rezolucję przeciwko listowi papieskiemu do biskupów niemieckich. I cały naród solidarzuje się przeciwko biskupom, którzy okazali się wprawdzie dobrymi papistami, ale zлыми Polakami.

M. L-ski

Błąd bibliograficzny

Z ostatniego 33-go numeru **Przewodnika Bibliograficznego**, oficjalnego wydawnictwa Biblioteki Narodowej w Warszawie dowiadujemy się o fenomenie bibliograficznym: oto w r. 1948 ukazały się drukiem w żadnej bibliografii dotąd nie notowane tomy 14 i 15 dzieła Lelewela pt. „Polska, dzieje i rzeczy jej, notabene z latami wydania 1853 i 1864”.

Skądinąd (patrz Estreicher, tom II, str. 570) wiadomo, że tomy 14 i 15 nigdy we wspomnianym dziele Lelewela nie ukazały się. Skoro jednak Biblioteka Narodowa, in-

stytucja naukowa, kompetentna w dziedzinie bibliografii, za pośrednictwem swego Instytutu Bibliograficznego, zgłasza poszukiwanie tych tomów, należy zająć się usilnie odnalezieniem tego białego kruka. oraz stwierdzić z żalem niedopatrznie Estreichera. A może raczej... błąd, który nie powinien się znaleźć w wydawnictwie bibliograficznym..

p. w.

O pracy Państwowych Zakładów Wydawnictw Szkolnych

Rozpoczął się nowy okres prac nad przebudową szkolnictwa. Osiągnięcie pełnej jednolitości ustroju szkolnego wymaga organizacyjnej i programowej przebudowy szkoły średniej.

Zmianom w organizacji szkolnictwa towarzyszy zagadnienie nowych podręczników, którego rozwiązanie ma duże znaczenie praktyczne zarówno dla szybkiego postępu przebudowy, jak pracy nauczyciela i ucznia.

Wydawnictwem książek szkolnych zajęło się kilkanaście firm wydawniczych — przodują wśród nich Państwowe Zakłady Wydawnictw Szkolnych. Bilans wydawniczy do roku 1947 wynosił 34.562.188 egzemplarzy książek szkolnych, 39.468.536 egzemplarzy druków administracji szkolnych, 1.725.170 egzemplarzy czasopism pedagogicznych. Do chwili obecnej ilość wydanych podręczników szkolnych wyraża się cyfrą 39.674.106 egzemplarzy, a więc wzrosła o ponad 5 mil. w ciągu półroczia.

2 mil. egzemplarzy elementarza, ponad 1 mil. czytańek na klasy niższe — rozeszły się już w roku ubiegłym.

P. Z. W. S. — w 90 proc. pokrywają zapotrzebowania szkolne. Górą przed wszystkim wysokością nakładów. Liczba pozycji książek wydanych przez P.Z.W.S. w stosunku do sumy pozycji innych wydawnictw wynosi około 50 proc. ogólnej ilości pozycji książek szkolnych, ukazujących się na rynku księgarskim.

Rozprowadzenie podręczników zostało ułatwione w znacznym stopniu przez inspektoraty.

Dotychczasowy plan wydawniczy P. Z. W. S-u przewidywał zaspokojenie potrzeb szkoły podstawowej, dzisiaj dużą wagę przywiązuje do wydawnictwa książek dla szkół zawodowych, średnich, a następnie wyższych uczelni.

Cenną pozycją wydawniczą PZWS-u są czasopisma pedagogiczne, a zwłaszcza ukazujące się od kilku miesięcy czasopisma przedmiotowe, zawierające wskazówki dydaktyczne, wiadomości fachowe, metodyczne projekty godzin lekcyjnych i opracowania poszczególnych tematów związanych z danym przedmiotem.

Równie godnym uwagi ze względu na jej kształcąca charakter jest dział Biblioteki Popularno-Naukowej, do której PZWS przywiązuje dużą wagę. Niska cena i staranne opracowanie książek Bibl. Popularno-Nauk. przy umietyjnym wyborze zagadnień stanowią o dostępności książki dla każdego czytelnika.

Ożywna i rozległa działalność PZWS-u jest poważnym wkładem w upowszechnienie wiedzy i przyspiesza osiągnięcia, jakie nieśmiesznie nam nowa szkoła.

m. b.

Troski wydawnicze

Aby nikomu się nie zdawało, że w naszym życiu wydawniczym panuje już całkowita idylla, że wydajemy dziś w Polsce tylko świetne książki, że drukarnie nasze nie drukują nic prócz klasyków, pozwólcie sobie zasmucić moje noty o „Zasługach wydawców” notami o „Troskach wydawniczych”. Obraz świata nie może być przecież tylko różowy. Przeczyłoby to postulat realizmu

Otóż niewątpliwą troską wydawniczą jest to, iż procent essay’ów i książek z zakresu literatury krytycznej, przypadający na wielkie spółdzielnie jest niewymownie niski. „Książka” tylko zaprzecza tym danym statystycznym, ale i to raczej na polu wydawnictw naukowych. Essays, prace krytyczne etc. są niewątpliwą domeną księgarzy prywatnych. A przecież, jak to wynika z wer-

dyktu jury nagrody „Odrodzenia”, ten dział w nowej polskiej literaturze jest dość wybitny. Dlaczego więc żadna z wielkich spółdzielni nie wydała tych prac, które zostały odznaczone przez jury? Jeśli przyjmujemy, że spółdzielczość wydawnicza jest rzeczą słuszną, to mamy prawo domagać się, by działała ona lepiej niż wydawnictwa prywatne. Lepiej — to znaczy także lepiej pod względem planu wydawniczego, który nie może ograniczyć się już dziś do samych tylko powieści lub do wznowień powieści.

Dwie sprawy zostały u nas zaniedbane w dziedzinie wydawnictw — sprawa poezji i sprawa krytyki. Jest jeszcze sprawa trzecia — najsmutniejsza. Wydawnictwa książek naszych kolegów, którzy zgineją w latach wojny, i nie mogą dziś sami podpisać umów wydawniczych. Musimy to za nich uczynić my, którzy pozostaliśmy przy życiu. O tej smutnej sprawie wiele już pisano, ale nie ruszono jej dotąd z miejsca. Wydaje mi się, iż ważną rzeczą byłoby wydanie wyboru dzieł Boya, Irzykowskiego, prac Piwińskiego, Frydrego, Ortwin, wierszy Czechowicza, Hollendra, prozy Schulza. Obowiązkiem jest wydanie dzieł Berenta. Wymieniam nazwiska, które przychodzą mi na myśl. Jest ich zapewne znacznie więcej. Wspólnym obowiązkiem wydawców i Związku Zawodowego Literatów Polskich winno być zlikwidowanie tej poważnej troski wydawniczej w terminie jak najkrótszym.

ph.

KSIAŻKI NADESŁANE

- Dumas Aleksander: Dwadzieścia lat później. Nakł. Spółdz. Wydawn. „Książka”, Warszawa 1948, str. 536, zł. 400.—
- Engels Fryderyk: Rozwój socjalizmu od utopii do nauki. Wyd. III, str. 34, zł. 70.—
- Justa Krystyna: Z bagna i kamieni. Nakł. Spółdz. Wydawn. „Książka”, Warszawa 1948, str. 200, zł. 250.—
- Konopnicka Maria: Poezje. (Wybór dla kl. VI Szkoły podstawowej). Wyd. II, Nakł. Spółdz. Wydawn. „Książka”, Warszawa 1948, str. 44—XII, zł. 50.—
- Lenin Włodzimierz Iljcz: Imperyalizm jako najwyższe stadium kapitalizmu. Wyd. II, Nakł. Spółdz. Wydawn. „Książka”, Warszawa 1948, str. 130, zł. 110.—
- Ostrowski K. W.: Zarys ekonomiki przedkapitałistycznych formacji. Wyd. II, Nakł. Spółdz. Wydawn. „Książka”, Warszawa 1948, str. 180, zł. 150.—
- Prus Bolesław: Aniela. Wyd. II, Nakł. Spółdz. Wydawn. „Książka”, Warszawa 1948, str. 198, zł. 170.—
- Prus Bolesław: Antek. Wyd. III, Nakł. Spółdz. Wydawn. „Książka”, Warszawa 1948, str. 32, zł. 35.—
- Schaff Adam i Brom Leon: Pogadanki ekonomiczne. Wyd. V, Nakł. Spółdz. Wydawn. „Książka”, Warszawa 1948, str. 128, zł. 90.—
- Schaff Adam: Wstęp do teorii marksizmu. Wyd. IV, Nakł. Spółdz. Wydawn. „Książka”, Warszawa 1948, str. 292, zł. 280.—
- Tolstoj Lew: Śmierć szędziego Golowina, opowiadania. Nakł. Spółdz. Wydawn. „Książka”, Warszawa 1948, str. 208, zł. 250.—
- Zambrowski Roman: Od demokracji ludowej do socjalizmu. Nakł. Spółdz. Wydawn. „Książka”, Warszawa 1948, str. 40, zł. 20.—
- Zurkowska Zofia: Pójdziemy w świat. Wyd. II, Nakł. Spółdz. Wydawn. „Książka”, Warszawa 1948, str. 80, zł. 80.—
- Stein M. Grzybowski: Wstęp do nauki polityki społecznej. Nakł. „Czytelnik”, Spółdz. Pracy i Użytkowników, Kraków 1948, str. 184, zł. 280.—
- R. Matuszewski i J. Hojewski: Gospoda pod „Wesołą kukułką”. Nakł. wydawn. „Prasa Wojskowa”, Warszawa 1948, str. 85.
- Wacław Mroczowski: Lurki Dolnośląskie. Nakł. Wydawn. Ludowego, Warszawa 1948, str. 35.
- Manifesty, inscenizacja, oprac. literackie Stanisława Piotrowskiego. Nakł. Centralnej Księgarni Rolniczej „Samopomoc Chłopska”, Warszawa 1948, str. 109.
- Teodor Tomasz Jez: Szandor Kowacz. Nakł. Spółdz. Wydawn. „Czytelnik”, Warszawa 1948, str. 206.
- Pol Gojawieżyńska: Stolica. Część I. Nakł. Spółdz. Wydawn. „Czytelnik”, Warszawa 1948, str. 61, zł. 15.—
- Emanuel Kazakiewicz: Gwiazda i Lew Sławin: Wyliczka do Zerst. Nakł. Spółdz. Wydawn. „Czytelnik”, Warszawa 1948, str. 62, zł. 15.—
- Ignacy Krasicki: Mikołaja Doświadczynskiego przepadki. Wyd. IV, Nakł. Wydawn. Zakł. Narod. Im. Ossolińskich, Wrocław 1948, str. 168.

Do posiadaczy autografów Słowackiego

Zakład Narodowy imienia Ossolińskich we Wrocławiu przystępuje do pełnego, 16-tomowego wydania „Dzieł Wszystkich” Juliusza Słowackiego pod redakcją prof. Juliusza Kleina, tj. do reedycji tomów wydanych przed wojną i do opracowania nowych. W związku z tym zwraca się do wszystkich posiadaczy autografów Poety z prośbą o łaskawo porozumienie się z Wydawnictwem Zakładu Narodowego im. Ossolińskich we Wrocławiu, plac Solny 13.

Sprostowanie

W nrze 37 „Kuźnicy” pominięto przez przeoczenie nazwisko tłumacza, Stanisława Wygodzkiego, przy przekładzie fragmentu prozy Bertolda Brechta pt. „Żona Żydówka”.

Redakcja

Redaguje: Zespół „Kuźnicy”	Wydaje: Spółdzielnia Wyd. „Czytelnik”
REDAKTOR NACZELNY: STEFAN ŻOLKIEWSKI	
Redaktor naczelny przyjmuje we wtorki, czwartki i soboty od godziny 11 do 15	
Adres Redakcji i Administracji: ul. Piotrkowska Nr 96. — Telefon 204-75	
CENA OGŁOSZENIA: za 1 mm na 1 szpaltę 40 złotych.	
WARUNKI PRENUMERATY:	
Miesięcznie zł 50.—; kwartalnie zł 240.—; półrocznie zł 480.—; rocznie zł 960.—	
Należność za prenumeratę należy wpłacać do P. K. O. konto VII—567 „Prenumerata Kuźnicy”	
Drukarnia Nr 4 Sp. Wydawniczo-Oswiatowej „Czytelnik” — Łódź, żwirki 2, D—03032	